№ 29. Warszawa, dnia 3 (15) Lipca 1876 roku.

# TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

## Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

**Prenumerata wynosi:** w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera:—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).



# PUNKT DO ROZWODU.

### Z KARTEK PAMIĘTNIKA

przepisała

MARYA SZELIGA.

Dwunasta godzina północna wybiła na ratuszowym zegarze, a dźwięki te, przedłużone odgłosem ściennego zegaru, rozlegały się wśród mego pustego mieszkania, przejmując wrażeniem niemal przykrem... Książka wysunęła się z mej dłoni — głowa znużona opadła na piersi, i dwie łzy, pierwsze od lat kilku, i pierwsze które wycisnęła gorycz smutku, spłynęły zwolna po mej twarzy...

A jednak — niktby nie przypuścił znając moje stanowisko i domowe stosunki, aby najlżejsza chmura żalu mogła zasępić moje czoło... Młoda, zaślubiona z ukochanym człowiekiem, otoczona dostatkiem i życzliwością znajomych; wszystkie warunki życia posiadałam najszczęśliwsze: cóż mi więc mogło dolegać? Gdyby mi się o to spytał ktokolwiek, nawet matka i siostra, odpowiedziałabym że nic, i wymawiając się rozdrażnieniem nerwów, chorobą wybornie posługującą we wszelkich okolicznościach, otarłabym oczy, gwałtem zmuszając usta do uśmiechu. Przed sobą przecież powód mego usposobienia określał się wyraźniej: oto od pewnego czasu czułam się samotną i doznawałam w całej rozciągłości potęgi odrętwiającej umysł i uczucie, to jest nudów.

A! jakiż to stan nieznośny! wszystko obojętnieje, męczy: niepojęta tęsknota serce nęka, jakaś niechęć barwi świat cały na szaro, myśl wlecze się leniwo, a czas wydaje się powolniejszym w biegu od żółwia. Ani książka, ani fortepian nie zdołały mię rozerwać; herbata wystygła stała przede mną na stoliku nie tknięta: poziewanie i westchnienia kolejno towarzyszyły mojej zadumie, a wieczór jesienny przeciągał się dla mnie w nieskończoność. Dawniej, w pierwszych latach zamążpójścia, byłam całkiem inaczej usposobioną co do długich wieczorów: zwykle spędzaliśmy je razem ze Stefanem, już to czytając wspólnie, to gwarząc bez przestanku, tak, iż nieraz dawno ten sam zegar wygłosił północną porę, a myśmy i nie słyszeli tego wezwania do spoczynku nie strudzeni w wynajdywaniu nowych do gawędy przedmiotów. Mąż mój kochał mię bardzo, ja nawzajem, z zapałem właściwym 19-u latom i żywej wyobraźni pieszczonego dziecka. Stefan dla mnie porzucił stosunki ze światem, bale, wizyty, preferanse i pikniki, cały dzień spędzał przy moim boku, uwzględniając i wielbiąc nawet moje domatorskie upodobania. Nie lubiłam bowiem ani świetnych zebrań, ani szumu i zgiełku miastowego życia. Wychowana na wsi przywykłam do ciszy i spokojnych przyjemności rodzinnego życia. Mąż mój był podobno salonowcem, niezmiernie poszukiwanym przez towarzystwo osobliwie niewieście, ale widocznie z inną skłonnością w duszy, bo zamiast wybrać na towarzyszkę dozgonną którą z tych wesołych Warszawianek, co tak umieją czas próżnością przepełniać, on upodobał sobie wiejskie dziewczę, i w dość krótkim przeciągu po poznaniu go u mej kuzynki, zostałam jego żoną.

Trzy lata naszego pożycia minęły szybko, jak sen słodki; szczęście, polegające na zupełnem zadowoleniu wszelkich życzeń, uśmiechało się do nas stale. Być może, iż gdyby nieba zesłały nam na własność małego aniołka, spójnię najmilszą rodziny, serca nasze złączyłyby się jeszcze jednem ogniwem świętego uczucia. Ale Stefan zdawał się być tak wyłącznie mną zajęty, iż nieraz żartobliwie twierdził, jakoby dziecię otrzymujące zazwyczaj w sercu matki przewagę nad uczuciem żony, stałoby się dlań przedmiotem zazdrości i niechęci... Ja zaś w tym razie nie skarżyłam się bynajmniej na wyroki Opatrzności, dopóki...

Ale pragnę obudzić niedalekie wspomnienia porządkiem, choćby dla zapełnienia samotnie wlokących się wieczorów jesiennych, w czwartym roku mego małżeńskiego pożycia.

Mój Stefan jest starszy ode mnie o lat sześć zaledwie, ma powierzchowność bardzo zajmującą, naturę szlachetną, rozsądek i wykształcenie wyższe. W początkach naszego pożycia, byłam pewną, że doskonalszej istoty nigdy Bóg nie stworzył na tej ziemi, później spostrzegłam drobne na mem słońcu plamki, jakoto: zbyteczną drażliwość, trochę kaprysów, skłonność do poziewania i... zmienność.

Tak! z bólem serca postrzegałam kolejno występujące na jaw te wady, i zatrwożyłam się szczególniej tą ostatnią. I ja nie myślę sobie pochlebiać, wiem iż charakter mój jest nadto miękki, że się łatwo unoszę i egzaltuję, alež, nie ja pierwsza zaczęłam wzruszać ramionami na pieszczotę, uśmiechać się sarkastycznie z każdego nieobrachowanego słówka, i wreszcie po całych godzinach palić cygaro, puszczając regularne kółka, i nie wyrzekłszy nic, kiwać sobie nogą do taktu świstanej pocichu piosenki.

Z początku, a było to w połowie pierwszego miesiąca czwartej rocznicy od naszego ślubu, sądziłam, że mój mąż chory i pytałam się najtroskliwiej co mu dolega, lub z trwogą tuliłam się do jego objęcia. Ale gdy po kilkakroć skrzywił się, odsunął moje ręce, lub z wymuszoną grzecznością rzekł mi kilka banalnych frazesów, odgadłam przyczynę: mój mąż nudził się ze mną!

Tegoż wieczoru wypowiedziałam mu moje domysły. Stefan zarumienił się ogromnie, zaprzeczył gorąco, uścisnął tkliwie, i przez cały tydzień najpiękniejsza pogoda przyświecała na niebie naszej myśli. Obawy moje pierzchnęły. Postrzegłam tylko, że mój mąż, usiłuje mię wciągnąć w szersze towarzyskie koło, o którem dawniej nieraz wyrażał się przede mną z lekceważeniem, i ciesząc się, że bywając z obo-

wiązku wśród tej sfery, czułam się obcą, skrępowaną i znużoną. My na wsi, zapatrujemy się na życie ze strony poważniejszej, odczuwamy wszystko głębiej, i mamy czas każde wrażenie wyrobić w duszy na pojęcie; tu przeciwnie, pojęcia są wrażeniami, a bieg życia igraniem fal zdarzeń, na młyńskiem kole pospolitości. Otóż nic mię nie pociągało do tego wiru, i Stefan przesycony nim oddawna, z taką ochotą wyzwolił się z pod nacisku mnóstwa znajomości, opowiadając mi tylko niekiedy, o ile trudno jest wśród tej masy społecznej znaleść człowieka; proszę więc wyobrazić sobie moje zdumienie, gdy teraz, siedząc obok mnie w loży teatru wielkiego, rzekł lornetując na wszystkie strony:

— Doprawdy, tyle znajduję zmian, jakbym z Chin przybywał; Antoś nie nosi wachlarza za senatorową, Wacek ściska się z Dolkiem, a wiem że dawniej patrzyć na siebie uważaliby za ubliżenie; loża państwa X. pusta, a obok, przy pięknej Tereni, znajduje się nowa jakaś osobistość, mocno podejrzana o zadurzenie w prześlicznej hrabiance. Wiesz, Helenko, dodał zwracając się ku mnie, czas nam zbliżyć się trochę do świata, bo żyjemy jak osaczeni kwarantanną.

— Kwarantanna ta, była dobrowolna i naznaczona przez serce, odparłam niechętnie.

— Ależ moja droga! nie sądzisz zapewne aby dwoje kochających się, musiało uciekać na wyspy Ota-haïti.

— Sam szydziłeś z tych osób, które obecnie narzucasz mi za otoczenie. Czy nie wyliczałeś z obrzydzeniem ile fałszu, brudu i podłości kryje się pod tą maską elegancyi i dobrego tonu, o ile mało ten świat zasługuje na szacunek? — rzekłam gorąco.

— Najprzód moja droga, trzeba znać świat i brać go takim jak jest: potem, każdy ma swe niedokładności, nawet ty aniołku, że... za głośno mówisz obecnie.

Zamilkłam, podrażniona i smutna. Stefan dalej lornetował; nakoniec wpatrzył się w jednę z lóż, będącą naprzeciwko naszej. Siedziały w niej tylko dwie kobiety.

— Spójrz Helenko, jaka oryginalna ta dama w czarnej aksamitnej sukni, rzekł do mnie Stefan.

Istotnie można było zastosować do niej nazwę oryginalności: twarz jej młoda, ożywiona parą ognistych czarnych oczu, okolona była bujną falą włosów srebrno-siwych. Ubiór jej, ruchy, znamionowały osobę światową, a jakiś dziwnie powabny wpół szyderski uśmieszek, błąkający się wciąż po wydatnych i ponsowych wargach, nadawał jej coś zagadkowego. Towarzyszka jej, starsza o wiele, bruneta, otyła, pospolitością wyrazu fizyognomji, i stroju wyszukanego a bez gustu, podnosiła jeszcze wdzięk tajemniczej nieznajomej.

Jeszcze przyglądałam się młodej siwowłosej, gdy do naszej loży, wszedł jeden ze znajomych mego męża, pan Władysław, chodząca kronika miejscowych ploteczek, i ledwo dostrzegł nasze vis-à-vis, natychmiast zawołał:

— A! podziwiacie państwo zapewne tę wspaniałą piękność, o której obecnie mówi połowa widzów, zachwycając się tym uderzającym kontrastem młodości z siwizną, ognistych oczu i srebrzystych włosów. Nieprawdaż że czarująca.

— Któż to jest? spytaliśmy oboje z mężem.

— Otóż właśnie że nie wiem, ale będę wkrótce wiedział, i powiem ci, dodał zwracając się do Stefana.

— Będę ci bardzo obowiązany.

— Doprawdy? czyż oczy twoje zdolne są do oderwania się choćby na chwilę od stałego przedmiotu który je zachwycał?— szepnął ironicznie Władzio.

— Za kogo mię masz? — odparł Stefan.

— Za ideał mężów, rzekł skłaniając głowę.

Kurtynę podniesiono, pan Władysław nas pożegnał, ja ciągle milczałam; powracając do domu Stefan mruknął:

— Zdaje się że wpadłem niechcący w śmieszność, będąc ideałem mężów.

— Mój drogi, rzekłam, bądź sobie jakim chcesz, wracaj do świata, baw się, byleś mnie do niczego nie zmuszał.

— A nie będziesz zazdrośną, spytał nagle.

— Ja! i rozśmiałam się mimowoli. Ja ci ufam jak sobie, a po sobie sądzę, że mi nic droższego nad ciebie...

— Jesteś aniołem! wymówił jak za czasów przedślubnych, i ucałował moje ręce.

Przyznam się jednak, że nie przypuszczałam, aby mój małżonek tak skwapliwie skorzystał z mojego pozwolenia powrotu do świata, i zdziwiłam się bardzo, gdy nazajutrz ujrzałam go ustrojonego, naciągającego świeże rękawiczki, widocznie z zamiarem wizyt śpieszącego około południa na miasto.

— Gdzie idziesz? spytałam nie tając przykrości.

— Odwiedzę Władzia, zajdę do hrabinki...

— Dobrej zabawy!

— Moja Helenko! zabawa byłaby jeszcze milszą, gdybyś ty zechciała mi towarzyszyć: ot, wiesz co, ubierz się, i razem oddamy kilka wizyt, które są koniecznie wcześniej lub później.

— Ja nie mam ochoty.

— Rozerwałabyś się trochę, nie opuszczałbym cię na godzin kilka, nalegał Stefan.

— Dla mnie to nie jest rozrywką, a ty możesz czynić co ci się podoba! odparłam wzburzona.

— Do widzenia więc! wymówił chłodno, wziął kapelusz i wyszedł.

Żal mi nagle ścisnął serce, nie mogąc go przezwyciężyć, wybiegłam za Stefkiem do przedpokoju, i uścisnęłam go, przepraszając za chwilową niechęć. Byłabym może nawet i pojechała z nim na wizyty, ale mój małżonek nie rozmarszczył czoła i odpychając mię lekko, rzekł:

— Zgnieciesz mi kołnierzyk.

Cofnęłam się i z większym jeszcze żalem zostałam, raz pierwszy sama i smutna.

Od owego dnia ileż upłynęło podobnych! Mój mąż ledwie ranek spędziwszy ze mną, poziewając i stękając, ożywiał się dopiero w chwili, gdy nadeszła pora wizyty; uśmiechał się do lubych obrazów wczorajszego wieczoru lub mającego nadejść balu, a dla mnie, swej żony, często nie mógł znaleść słówka uprzejmej odpowiedzi. Często robiłam mu wymówki, odpierał je z szyderstwem lub gniewem.

— Moja Helenko, nie bądź tak nudną, rzekł mi nareszcie. Nie bronię ci używać świata według twego upodobania, czemuż więc ty mię zmuszasz do podziału twego widzenia rzeczy?

— Ja — żyję w samotności, opuszczeniu i żalu— rzekłam z goryczą.

— Czemu? Masz salon, stroje, klejnoty, swobodę: niejedna z kobiet uważałaby się za wyjątkowo szczęśliwą w twojem położeniu, więc czego ty chcesz ode mnie?

— Dawnej miłości gorącej i jedynej, dawnego uśmiechu i tkliwości, tyś się strasznie zmienił Stefanie!

— Wszystko to nie może trwać pół wieku!

— U nas trwały trzy lata i powiedz czy nie byliśmy szczęśliwi?

— Ja i dziś nie twierdzę przeciwnie. Jestem zupełnie zadowolony, tylko mię nudzą twoje grymasy. No! bądź zdrowa! muszę iść, bo pani Aloiza prosiła mię, abym jej towarzyszył do śpiewu na fortepianie u hrabinki. Szkoda że nie znasz pani Aloizy, co to za śliczna i rozumna kobieta!

— Wiele razy prosiłam cię abyśmy grali na cztery ręce, zawsze się wymawiasz, a jakiejś tam pani Aloizie.... zaczęłam wymówkę, lecz mój małżonek już był za drzwiami.

I powoli weszło w zwyczaj, że ani jednego wieczoru przy mnie nie spędzi, że jestem ciągle sama, a dziś, doprawdy na płacz mi się zbiera... Dowiedziałam się niechcący, że owa pani Aloiza, jest ową srebrnowłosą damą, którą widzieliśmy w teatrze. Mój mąż poznał się z tą powabną wdówką, która przybywszy z zagranicy gdzie przez kilka lat bawiła dla kuracyi męża, obecnie zawróciła głowę tłumom, i dom swój wkrótce postawiła na równi z najpierwszemi domami arystokracyi. Odznaczała się upodobaniem w sztukach pięknych, zgromadzała u siebie kwiat literatów i artystów, a Stefan aż do znudzenia prawił mi o jej przymiotach. Dotąd nigdy zazdrość nie zasiała w mem sercu zgubnego ziarna, co tak gorzkie daje plony. Ale widząc wzrastającą ku sobie obojętność, mimowoli nasuwa się myśl, że chyba inne uczucie zdołało w sercu mego męża zatrzeć wspomnienie dotychczasowego szczęścia?! Boże mój! jaki to dziwny ustrój tego świata i ludzkiej natury! Gonimy za czemś, uwielbiamy coś, napawamy się rozkoszą najwyższą posiadania upragnionego przedmiotu, i wkrótce znużeni naszem dobrem, przesyceni zadowoleniem, lotną wyobraźnię wysyłamy ku nowej marzeń krainie, nowe tęsknoty rodzą się w naszej piersi...

Wyznać muszę, że narzekając na zmianę usposobień, sama ją postrzegam w sobie... może wywołaną postępowaniem Stefana, bo nie u mnie nasamprzód objawiła się ta niszcząca apatya, co wszelkie najpiękniejsze kwiaty uczuć jak mrozem ścina i więdnieć przymusza... jednak i ja czuję, że zwolna ustępuje z mej duszy określony żal do zaniedbującego mię małżonka, a doznaję tylko takiej odrętwiałości, zniechęcenia, goryczy, że mogłabym do siebie zastosować wyrażenie poety:

> Bez pragnień jutra, bez wspomnień wczora,
> Wlecze się istność, drzemiąca, chora,
> Jakby karawan po piasku!

Nie mam przyjaciółki, z którąbym mogła dzielić moje myśli, Stefan teraz nigdy ze mną nie rozmawia, a wreszcie im więcej budzi się mój umysł cierpienie mając za mistrza, tym mniej znalazłabym w mężu zgody z nastrojem mej duszy. Pamiętnik jest mi w tym razie najlepszym powiernikiem i zapisywanie w nim wrażeń, stanowi dla mnie obecnie jedną z najmilszych rozrywek. Przynajmniej czas bieży szybciej i samotność nie tak dokucza.

Ale otóż słyszę dzwonek: mąż mój wraca z wieczoru. Dawniej uderzenia serca wtórowały tym dźwiękom oznajmującym przybycie ukochanego.... dziś...

Doprawdy, szkoda że myśmy *już tylko* i *na zawsze nieodmiennie* małżeństwo!

. . . . . . . . . .

Nudzę się, a jak się okropnie nudzę! Chyba przyjdzie się rzucić w wir światowy, chyba obiorę sobie jakie zajęcie, dyżur przy kuchni taniej, lub opiekę w ochronce.

Wczoraj był u Stefana pan Władysław, ponieważ zaś męża nie zastał, a ja nie wiedziałam co robić ze swym czasem, kazałam go poprosić do siebie. Rozmawialiśmy ze dwie godziny, Władzio wyznał że mu one ubiegły jak dwie minuty, i że się tego nie spodziewał. Opowiadał także, jak Stefan jest duszą zebrań u pani Aloizy, i wyraził żal, czemu nikt prawie nie ma sposobności ocenić skarbów mych towarzyskich zalet. Ja zaś myślałam sobie o szczególnej kolei rzeczy, że mąż i żona, za tak przyjemnych uznani przez obcych, dla siebie są tacy nieprzyjemni, i ożywiając drugich, u siebie wzajem szerzą wpływ przygnębiający? Stefan twierdzi żem nu-

dną; ja, mówiąc szczerze, niekiedy znajduję go nieznośnym, a pani Aloiza zachwyca się jego dowcipem i humorem, pan Władysław zaś widocznie rad był z mojego towarzystwa. Jakie to dziwne, smutne i śmieszne razem.

. . . . . . . . .

(*d. c. n.*)

## Zamki na lodzie.

Tak było, tak jest i zawsze będzie,
Wśród gwaru miasta i wsi ogrodzie,
Ludzie marzyli zawsze i wszędzie,
Stawiali zamki na lodzie.
Marzy dzieweczka zbierając kwiaty
Stubarwne, wśród łąk zieleni,
Myśl jej przywdziewa złociste szaty,
Spojrzenie gubi w przestrzeni.
Choć rzeczywistość, smutniejsza potem,
Jednak od marzeń nie stroni,
Młoda dzieweczka nie myśli o tem
Chęcią za ptaszkami goni.
Młodzieniec pierwsze stawiając kroki,
Na ciernistej drodze życia,
Jasne źrenice szle aż w obłoki,
Chcąc przyszłość dobyć z ukrycia.
Widzi przed sobą szczęścia nadzieje,
I nie chce wierzyć że cienia,
Padają często tam gdzie się śmieje
Apoteoza marzenia.
Chociaż los nieraz zawiedzie srodze,
Nadzieją ciągle się łudzą,
I ciernie zranią nogi po drodze,
Z marzeń nie zawsze przebudzą.
Marzenie, to jak łódź bez żeglarza
Miotana wiatrem po wodzie,
Magicznym pędzlem mistrza malarza,
Stawia nam zamki na lodzie.
Lecz lody topią słońca promienie,
A i rzeczywistość blada
Szybko rozwiewa barwne marzenie,
Łódź na mieliźnie osiada.
Jak słońce grzejąc blaskiem promieni,
Lód zmienia w jasne obłoki,
By zachowały spragnionej ziemi
Ożywczej rosy potoki,
Tak i okwitłe wieńce marzenia,
Wśród trudnych życia kolei,
Są ludziom, słodkim skarbem wspomnienia,
Podnietą nowej nadziei.

*Eliza R.*

## Wyjątek z opisu misyi
## KS. ADOLFA BAKANOWSKIEGO
w Ameryce w prowincyi Texas.

(Dokończenie).

### IV.
### Polowanie.

Polowanie w Texas można zaliczyć do najprzyjemniejszej rozrywki. Tu dla myśliwców pole zabawy! Wszędzie można napotkać rozmaitego gatunku zwierzynę. Sarny, jelenie, pantery, dzikie koty, niedźwiedzie, zające, wilki, lisy, wydry i t. d. Oprócz tego rozmaite węże i krokodyle. Polowanie w każdym czasie wolne. Oprócz rewolwera, miałem też dubeltówkę, więcej dla obrony niż do polowania, gdyż z natury niewiele posiadam żyłki myśliwskiej. Niekiedy po pracach i trudach misyonarskich, dla towarzystwa musiałem się bawić polowaniem, najczęściej wtedy, kiedy zabrakło mięsa do kuchni. Niekiedy wyprawy były szczęśliwe, niekiedy przeciwnie, z niczem się wracało do domu.

Otóż pewnego pięknego poranku, w sześciu nas ochotników na ogromnym wozie wyjechaliśmy na polowanie, dwie mile za Panną Maryą. Jechaliśmy nad głębokim parowem; tu wszyscy zrobiliśmy sobie uwagę zanotowania dobrze w pamięci pozycyi, żebyśmy wracając po ciemku nie wpadli razem z wozem i końmi w przepaść.

Ujechawszy sześć mil angielskich dalej, znaleźliśmy dogodne miejsce dla naszej wyprawy i w dolinie pod cieniem drzew rozpostarliśmy obóz.

Z jednej strony niedaleko od naszego obozu płynie rzeka San Antonio, nad jej brzegami wysokie drzewa orzechowe i lipowe wśród gęstych zarosłych krzewin; doskonałe miejsce na dzikie indyki, koty, wydry, a nawet pantery. Z drugiej strony przed nami, pole, a na niem gęsto zarosłe krzaki, dobre miejsce na zające. Tam dalej sterczą pagórki, na nich lasy, to miejsce sarn; na boku w zarosłej dolinie połyskuje małe jezioro, tam przed wieczorem przylatują gęsi i kaczki. Przekąsiwszy, każdy wziął dubeltówkę, rewolwer u boku, torbę na plecy i rozeszliśmy się za zdobyczą: jedni szukać indyków, drudzy zajęcy, ja zaś zmierzyłem do lasku na górę wytropić sarny. Ledwośmy się rozeszli zaraz huknęło kilka strzałów, zające już leżą, wkrótce i sam spotykam, zmierzam, pociągam za cyngiel, ale mi tylko klapnęło. Zapomniałem założyć pistony. Zając tymczasem uciekł i nadbiegł na starego myśliwego; ten pali, widać zanadto wsypał prochu, gdyż obaj z zającem się przewracają. Ot! i komedya, jednak tęgi strzelec, chociaż się sam przewrócił, ale też zająca położył. Marsz, marsz, coraz dalej idalej, po borach i kniejach, aż wreszcie zdaleka zoczyłem na górze całe stado sarn. Otóż pokusa, pomyślałem, ztąd z dubeltówki nie dosięgnie, podchodzić, zoczą i uciekną. Gdybym miał karabin, jakże dogodnie byłoby ztąd strzelać! Nie ma co jednak myślić dłużej, trzeba pełzać do nich. Ledwo uczyniłem 15 kroków, naśladując żółwia z wlepionym wzrokiem w stojące w dali jeszcze sarny, aż tu coś mi szczerknie tuż blisko nosa.

Jakiegoż strachu doznałem, kiedym zobaczył, że to wąż grzechotnik! Skoczyłem jak oparzony, opuściwszy dubeltówkę, i co tchu uciekam nazad. Po chwili stanąłem i obzieram się czy nie biegnie za mną, śledząc wzrokiem raz węża, drugi raz miejsce gdzie zostawiłem dubeltówkę. Przyznam się, że nigdy jeszcze podobna bestya tyle mi strachu nie napędziła jak tą razą: zdało mi się, że ten pomści się za wszystkie morderstwa swych braci. Nieśmiało potem zbliżam się do dubeltówki, nie myśląc wcale o moich sarnach. Węża już nie widzę, tylko leży na trawie dubeltówka; podejmuję ją, dziękując Bogu za tak cudowne ocalenie, a zarazem przestrogę na przyszłość. W tej dystrakcyi nabijam drugi raz strzelbę, pakując na dawny, cały nabój nowy. Idę potem dalej w las, wkrótce zoczam zająca, ale i tu mnie zawodzi, pistony nie wypalają, dosypuję prochu, nakładam nowe pistony, zając tymczasem siedzi w krzaku i czeka wystrzału. Palę drugi raz, znowu ta sama historya. Pomyślałem na pewno, żem w prędkości jednej lufy nie nabił, i niewiele myśląc, pakuję trzeci ładunek na dwa poprzedzające. Dla pewności dosypawszy prochu do zapałów, i założywszy świeże pistony, postępuję dalej szukać zająca; tego już nie było, nadbiegł inny, strzelam do niego w biegu, ale niestety znowu się powtórzyło to samo. A to dziwna rzecz, pomyślałem, dosypuję jeszcze raz kilka ziarnek prochu, zakładam świeże pistony, i znowu szukam zająca, niezadługo znajduję; zaledwom zmierzył i już mam wystrzelić, aż w tem ogromna osa puszcza mi żądło w sam nos! Naturalnie, że taki niespodziany przypadek, naraz całą scenę odmienia. Łzy zamąciły oczy, zamiast celu lufy, widzę tylko nabrzmienie mojego nosa, a przed sobą jakieś ogromne krzaki i drzewa jedne bliżej, drugie dalej, ubarwione różnokolorowemi światełkami. Wyrzekam się już i sarn i zająców, z miną kwaśną wracam do naszego obozu, torując drogę ocieraniem łez, przez które ledwo co dojrzeć mogę. Zbliżając się do miejsca obozu, pokusa znowu przychodzi, spotykam w krzakach zająca tak wygodnie siedzącego do wystrzału, że niepodobna było go pominąć. Wprawdzie nos opuchły nieco mi w polowaniu przeszkadza, jednak zmierzam i palę; jakże mi tedy wytnie strzelba w twarz, to nie dość żem się przewrócił, ale nawet straciłem przytomność, nie wiedziałem co się dzieje ze mną. W oczach tysiąc różnobarwnych zaiskrzyło się świeczeczek, w uszach jakiś dziwny gwizd i szum, a twarz rosła w górę, jakby na drożdżach. Wreszcie wstaję i patrzę co tu słychać koło mnie. Naprzód obejrzałem dubeltówkę czy cała, potem chwytam się za nos, za twarz, w końcu jak żołnierz po walce przegranej dla sławy swojej, poważnym krokiem wracam do obozu. I znowu chwytam się ręką raz za twarz, drugi raz za nos, szum zawsze koło mnie, a oczy pomroczone łzami. Po drodze spotykam zające, ale już o nie wcale nie dbam.

Dziękowałem Bogu, żem się nie zabił, co bardzo łatwo mogło nastąpić w skutek eksplozyi przeładowanej trzema nabiciami dubeltówki. Przyszedłszy do obozu, szczęście że nikogo nie zastaję, kładę się zaraz pod cieniem woza, i tak leżę aż do zmroku. Tu jeszcze na dodatek kary znajduje się skorpion, i pali mi cięcie w samą dłoń prawej ręki. Ból nowy rozchodzi się po całem ciele, a rana jakby ogniem paliła. Skorpiony texaskie nie są śmiertelnie jadowite, chociaż jad ich przez kilka dni potem dokucza jeszcze. Nareszcie zbliżył się wieczór. Słońce już zaszło i dopiero o zmroku powrócili nasi myśliwcy. Każden obładowany zwierzyną i ptactwem ledwo zdąża do miejsca.

— A cóż ksiądz upolował?

— Nic. Powiem wam że dziwne niepowodzenie miałem. Ponieważ spiesznie wybierali się do domu, przeto na tem tylko skończyło się moje tłomaczenie.

W drodze jak zwyczajnie po polowaniu, gwarzyli wesoło o swojej zwinności i wprawie myśliwskiej. Wtem dojeżdżamy do wyżej rzeczonego parowu. Naraz wszyscyśmy o nim przepomnieli. Gdybyśmy byli puścili cugle wolno koniom, napewno byłyby nas przeprowadziły tą samą bezpieczną drogą, którą za dnia przechodziły. Ale jeden krzyczy na prawo, drugi na lewo, trzeci szarpie za cugle, a czwarty smaga batem konie, i oto jakby umyślnie, mimo nawet ich uporu, wlatujemy wszyscy razem do gościnnego na złamanie karku parowu. Otóż, pomyślałem, polowanie dzisiaj udało się mi kapitalnie!

Teraz opowiem nieco o polowaniu innego rodzaju; o polowaniu zwierząt, płazów i owadów, na zwierzęta, płazy i owady. Zwyczajnie trzyma się tabunami swoich pewnych zagród, gdzie się zrodziło i urosło, mniej więcej 10 mil angielskich w obwodzie, granic swoich nie przekraczając; dalej jest inne stado, a tam dalej znowu inne i t. d. Słowem bydło jednego tabunu pasie się zawsze razem i na tej samej przestrzeni. Gdy bowiem przybliży się do drugiego tabunu, musi zaraz wracać, inaczej ostatnie wypędzi. Ztąd też nie gubi się nigdy, lubo je nikt nie strzeże. Ma ono jednak swoich nieprzyjaciół, a tymi są: wilk, pantera i grzechotnik. Ciekawa przeto rzecz, jak sobie radzi bydło, mianowicie krowy i woły, w razie niebezpieczeństwa. Gdy się pokaże wilk albo pantera w pobliżu tabuna, natenczas bydlę najbliżej niego się pasące, wydaje silny ryk, czem ostrzega i wzywa do pomocy drugie. Tej samej chwili cały tabun zaczyna przeraźliwie beczyć i pędzi w stronę zagrożoną. Wilk lub pantera widząc rozjuszone bydło

ucieka przed niem, które atoli pędzi za nim i najczęściej zmęczonego zwierzęcia dopędza i zabija rogami. Jeśli się zdarzy że go nie dopędzi, a w blizkości przebywa drugi tabun, natenczas ten pędzi dalej z taką samą muzyką, gdy tymczasem pierwszy tabun wraca na swoje miejsce. I tak wciąż powtarza się, aż zwierzę wreszcie zmęczone pada z wywalonym językiem na pastwę bydła, które rogami bodzie, wyrzuca w górę i depcze, dopokąd nie zamorduje. Jeżeli zwierzę gonione skryje się do nory, wtedy rozjuszone bydło z rozpaczliwym rykiem kopie rogami ziemię, i nie mogąc dobyć swej pastwy, nagle rozbiega się do swoich zagród. Dziwna rzecz, że w podobnych przypadkach nigdy nie rzucają się na człowieka. Sam nieraz byłem naocznym świadkiem podobnej sceny, nawet wśród rozjuszonego bydła, ale mi zawsze dały pokój.

Przed grzechotnikiem jednak ucieka bydło. Wąż ten długi na 6 do 8 stóp, a gruby jak ramię, ma zęby wewnątrz próżne i tak usposobione, że gdy ukąsi, trucizna znajdująca się pod zębami w woreczkach, spływa do rany, zatruwa krew i sprawia, że człowiek lub zwierzę ukąszone ginie niechybnie. Na szczęście jednak gdy się sunie grzechotnik po ziemi, słychać go z daleka. Koniec bowiem ogona składa się z suchych obręczy, które przy poruszeniu wydają szelest znany dobrze tak ludziom jak bydłu. Straszny ten gad czyha zazwyczaj na swą zdobycz koło drzewa, a gdy zobaczy ofiarę, podnosi się do góry i rzuca się na nią, jeśli zaś zdobycz umyka, natenczas zwija się w kłęby, napręża, i rzuca sobą daleko, tak że trudno by przed nim ujść co zdołało; pochwyconą zdobycz kaleczy, zatruwa i pożera, poczem zapada w sen, który niekiedy trwa bardzo długo. Otóż jelenie i sarny polują na węże w następujący sposób: Kiedy zoczą opodal siebie węża zwiniętego, przypatrują się mu naprzód długo, czy śpi, a gdy się przekonają że tak jest, pocichu zbliżają się i nagle podskakują do góry i złożywszy wszystkie cztery nogi razem, z ukosa tak uderzają raciczkami grzechotnika, że go na miejscu zabijają, albo bardzo ciężko ranią, w tejże chwili od niego odskakując. Żyje też w Texas pewien rodzaj pająków, dużych jak dłoń ludzka, obrosłych włosami, a tak jadowitych, że gdy który skaleczy człowieka, ciało rozpada się w kawałki. Na wiosnę pająki te łażą po polach w ogromnej ilości, i niekiedy przyłażą nawet do domów. Na szczęście mają one swych nieprzyjaciół, a temi są pewne muchy, wielkości naszej największej osy, koloru czarnego, które na nie ustawicznie polują. Nieraz widziałem jak te osy latając po polach szukają pająków, który gdy zdala zasłyszy brzęczenie wspomnionej osy, tak się przeraża, że staje, poczyna cały drgać i trząść się z przestrachu. Wtedy osa dolatuje, uderza nań z góry, kaleczy ostrem żądłem i pająk natychmiast ginie i rozpada się na kawałki. Osa ta nikomu nie szkodzi, tylko jedynie tym pająkom.

Pewnego razu leżąc w polu pod cieniem dęba, widziałem przed sobą następującą scenę przebiegłości wilka. Może o trzysta kroków zdala ode mnie, stoi tam blisko lasu, jakby na zwiadach, ogromny rozłożysty dąb. Jedna gałęź jego strzela grubą łodygą na prawy bok, mniej więcej 6 stóp nad ziemią, ocieniając pod sobą wybujałą trawę. Otóż widzę jak wilk przy tej gałęzi uczy się gimnastyki, wyskoczył na nią raz i drugi i spadł. Powtarzał to potem tyle razy, aż póki nie wprawił się nietylko na tę gałęź wyskoczyć, ale jeszcze bezpiecznie na niej się zatrzymać. Poczem odszedł do lasu. Wstaję więc i idę obejrzyć ten dąb, jak on zbliska wygląda. Widzę tuż pod samym dębem jamę, widocznie jakiemuś zwierzęciu za legowisko służącą; znać jeszcze świeżo poruszaną ziemię. Domyśliłem się że w tem musi być jakaś dyplomacya wilka. Wracam więc prędzej nazad na swoje miejsce, kładę się jak przedtem i czekam czy nie zobaczę jakiej nowej sceny. Jakoż zaledwo 15 minut przeszło, ku temu dębowi idzie z prosiętami potężna locha (dzika świnia) i razem z niemi kładzie się w owej norze pod dębem. Następnie po 5 minutach, mój kudłaty dyplomata wychodzi z lasu i pomiędzy krzakami skrada się z nienacka do dęba, przy zbliżeniu, nagle rzuca się do nory, porywa w pysk prosię, i wyskakuje na gałęź, na której niedawno tak się wprawiał wyskakiwać. Udało mu się dobrze, ale niestety! zapomniał o swoim długim ogonie, locha właśnie korzystając z tego, porywa go za ogon, ściąga na dół i rozpoczyna się zacięta walka. Po chwili wilk padł na miejscu a locha rozjuszona uciekła z prosiętami. Wilk dostał cięcie w gardło a i locha widać była pokaleczona, gdyż krwią znaczyła ślady po sobie.

## V.

### Podróż do Martyńca.

Wyżej mówiłem że w Texasie mamy kilka misyi polskich, z których w każdej jest kościół, i w Martyńcu cały murowany stanął staraniem ks. Feliksa Zwiazdowskiego. Od Panny Maryi cały dzień drogi, bo 40 mil angielskich nieco na wschód.

Jedzie się przez gęste zarośle drzew i lasów, po wązkich ścieżkach, utartych przez bydło. Miejscami i takie ścieżki się gubią, trzeba więc z kompasem w ręku, przebijać się przez zarosłe doły i parowy. Konno w tę stronę jechać dogodniej, ale trudność wożenia z sobą żywności zmusza 40 mil biedz bez posilenia się w drodze. Z tego powodu najczęściej jeździliśmy wozem, chociaż konno nierównie łatwiej się dobić.

Od czasu założenia misyi polskiej w Texas, (lat 17) umarło dwóch polskich kapłanów, obaj w Martyńcu. Pierwszy ks. Julijan Przesiecki, spadł z konia i zabił się na miejscu w r. 1863. Drugi ksiądz Teofil Bralewski, skończył dziwną śmiercią. Po odprawieniu nabożeństwa położył się w łóżko nieco odetchnąć, spał 40 godzin i tak we śnie bezprzytomny zakończył życie w r. 1869. Zwłoki ich spoczywają blisko siebie, parę kroków przed frontowemi drzwiami starego kościoła. Dzisiaj tam mają cmentarz, a kościół wymurowali na innem dogodniejszem dla parafji miejscu.

Tą razą odbywała się podróż do Martyńca wozem, a ja obok wozu na moim kasztanku. Jechałem zawsze nieco naprzód, chociaż wiele razy tędy przejeżdżałem, zawsze jednak muszę po manowcach błądzić. I teraz znowu byłoby to powtórzonem, gdybym się ciągle nie oglądał którędy wóz nakręca. Przed samym popasem na południe, uwiązałem konia do wozu, i razem z panem K. kapitanem wojsk Stanów Zjednoczonych, szliśmy nieco naprzód aby się przejść i znaleść dogodne miejsce na popas. Wzieliśmy przytem broń na przypadek spotkania się z zającem lub sarnami. Konie przy wozie zmęczone idą wolnym krokiem, my zaś zabawieni rozmową nie spostrzegamy, że za szybki nasz spacer i wozu już nie widzieliśmy za sobą. Chcemy więc odpocząć pod cieniem dęba, aż wtem nieco od naszej drogi spostrzegamy ogromnego węża, na nas czyhającego. Cofnąwszy się parę kroków w tył, zmierzam z dubeltówki, i ze strachu na raz wypalam z obu luf. Na nieszczęście nie trafiłem. Czym go zadrasnął, czym tylko szrutem gwizdnął koło niego, nie wiem; wąż zaraz po wystrzale odwija się od dęba, na którem był zawieszony i cwałem puszcza się za nami. Kapitan nie miał czasu nawet wyciągnąć z pochwy rewolwera, krzyczę więc do ucieczki ze mną, wystrzał niepewny, zatrzymanie się choćby na chwilę grozi śmiertelnym ciosem. Biegniemy tedy z całej siły ku stronie naszego wozu, wąż za nami. Wreszcie kapitan widząc że ucieczka trudna, bo wąż już blisko nas, pali za siebie raz i drugi, potem wymierza trzeci raz i przeszywa go kulą. Wtedy bezpiecznie zbliżamy się i dobijamy kijami. Podczas szukania i chwytania za kije, skorpion znowu uraczył mnie w rękę. Za chwilę nadjeżdża wóz, i na tem miejscu stajemy na popas. Po dobrym wypoczynku, ruszamy dalej w drogę, i wieczorem o godzinie 9 stajemy w Martyńcu.

Jak droga, tak równie i pozycya Martyńca dzika, leśna, zarosła krzewami, bez żadnych ulic i porządku choćby wiejskiego. Chaty między drzewami, jednej od drugiej nie widać. Kościół podobnież wśród drzew i ledwo na kilka kroków przed sobą dojrzyć go można. Familji tam polskich 48.

Było to niedawno po śmierci ks. Bralewskiego, więc jakoś smutno i trwożnie wszystko uderzało do serca. Mój Boże! pomyślałem, i tu w tym lesie musi ksiądz sam mieszkać, nie widać ani nawet domku w sąsiedztwie, w razie jakiego smutnego przypadku trzeba ginąć bez żadnej pomocy. W jednem zabudowaniu kościół i pomieszkanie dla księdza. W pokoju znalazłem jeszcze rozmaite rzeczy po nieboszczyku. Wszystko zebrałem, porachowałem i oddałem na szpital w San Antonio. Nieznaliśmy dawniej ś. p. ks. Teofila Bralewskiego, dopiero poznaliśmy go w Texas, dokąd przybył w chęci pracowania z nami w r. 1858. Przyjęliśmy go życzliwie, mimo opozycyi ze strony dyecezyalnej władzy. Pracował wspólnie z nami 8 miesięcy. Żył jakby pustelnik, zawsze samotny, w pracy około dobra swojej parafji. Najwięcej zatrudniał się nauczaniem dzieci.

Przeszłość jego przesycona długiemi cierpieniami tułactwa i niedostatków, wpłynęła nie mało na jego charakter i posłużyła do umiejętności poznawania ludzi, jak równie sposobu trafnego z nimi pożycia. Umiał spokojnie i zręcznie szorstkie charaktery swojego ludu nagiąć pod prawa ewangielji, i pracować dla dobra całej swej parafji. Skon jego boleśnie uderzył nas wszystkich, tem więcej że tak nagle. Spowiadał się kilka dni przed śmiercią u ks. Barzyńskiego, który podczas mszy św. przed ewangielją otrzymał spieszną wiadomość o konaniu ks. Bralewskiego, zaraz też bez straty czasu, nawet śniadania, biegł 18 mil angielskich na koniu z San Antonio do Martyńca. Dał mu jeszcze ostatnią absolucyę i potem pochował, pożegnawszy go i w jego imieniu wszystkich parafian bardzo rzewną nad grobem nauką.

Po trzydniowym tam pobycie i daniu misyi, wróciliśmy do Panny Maryi tą samą drogą. Jechałem na koniku obok woza z kolegami prowadząc rozmowę. Już zbliżamy się do miejsca popasu, aż wtem zdala widzimy sowę ogromną na drzewie. Ks. Feliks Zwiazdowski kazał przytrzymać konie, i z wozu chciał strzelać do niej. Prosiłem by wstrzymał się na chwilę, aż wpierw ucieknę z mym koniem, ponieważ ten bał się strzałów. Puściłem więc cugle wolno, koń wnet pojął o co chodzi, odrazu ruszył z kopyta. Ledwom odjechał paręset kroków, zdala na środku mojej drogi, spostrzegam dziwnego węża. Stoi wyprężony w górę jakby jaka łodyga, z świecącemi rogami. Z razu sądziłem że jakieś widmo, podobnych wężów nigdy nie widziałem, ani też o ich rogach nic nie słyszałem. Mój koń tak był rozjuszony, że jakby nic przed sobą nie widział, pędzi dalej tą samą drogą. Przy zbliżeniu, skręcam konia na bok, wyjmuję znienacka z pochwy rewolwer, i umocowawszy się nogami silniej na siodle, zmierzam z tyłu po za siebie do węża i wypalam. Nie miałem

czasu już patrzyć co się z nim stało, a mój koń pognał ze mną pomiędzy drzewa tak szybko, że nie mogłem nawet rewolwera schować, gdyż za najmniejszem poruszeniem ręki, zdało mu się że znowu ten strach huknie nad nim. Ledwo po kilku minutach go powstrzymałem. Wracam na to samo miejsce i na szczęście nie chybił strzał, gad pozostał na miejscu wijąc się długo na wszystkie strony. Wąż był nadzwyczajnej wielkości, 10 stóp długi, gruby jak ramię, rogi kilku calowe i podobnie jak ślimak, mógł je wytężać i chować.

Lecz nie koniec na tem. Straszniejsza czekała mnie przygoda w tej samej podróży. Kilka mil angielskich przed Panną Maryą, puszczam konia wolno, dla prędszego przed wozem przyjazdu do Panny Maryi. Zaledwie dwie angielskie mile ujechałem, opodal drogi koło dęba, widzę jakąś leżącą bestyę z świecącemi oczyma; przypatruję się lepiej, pantera. Dreszcz przeniknął mnie po ciele, w strachu nie wiem na razie co począć! Zwierzę to, gdy zoczy człowieka choćby najdalej, zawsze na niego się rzuca i rozrywa w kawałki; biegnie chyżej od węża, a zatem i na koniu ucieczka niepewna. Wtem spostrzegam jak pantera wstaje z miejsca, i pomału skrada się w kierunku do mnie. Nagle nabieram odwagi, ściskam konia ostrogami, wyjąwszy z pochwy rewolwer, i dalejże w cwał ku Pannie Maryi. Zwietrzył ją i mój koń, unosząc mnie co sił starczyło. Oglądam się za siebie, pantera już blisko koło mnie, raz po raz wypalam do niej trzy razy, koń bieży coraz chyżej, snać przeczuwa grożące nam obu śmiertelne niebezpieczeństwo. Po strzałach nie wiem, czym ją drasnął kulą, czym tylko przestraszył, pantera zatrzymała się i widzę jak rozwścieklona łapami rwie trawę i ziemię rzucając ją w górę. Ja tymczasem korzystam z pory i uciekam dalej. Dopiero niedaleko Panny Maryi konia wstrzymałem i spokojnie stanąłem przed domem. Nie wiem co się z nią potem stało, ledwo bowiem za godzinę moi towarzysze przyjechali na wozie i mówili że jej nie widzieli.

## VI.

### Elekcya czyli wybory.

Nim rządy z rąk wojennych przeszły do cywilnych, ogłoszone były wybory na nowych urzędników Stanu. Bo trzeba wiedzieć że z przyczyny rozmaitych napadów i rozbojów, blisko rok cały Texas był na stopie wojennej, pod rządem główno dowodzącego wojskami. Tu znowu kłopot z naszymi braćmi. Helena, nasze powiatowe miasto, trzymając stronę południowców, głosowało na urzędników ze swojej partyi, rozumie się nam nieżyczliwych. W rozmaity sposób namawiali i oszukiwali Polaków, by przyciągnąć na swoją stronę. Z początku chciałem być w tem obojętny, ale widząc jak wielu mylnie powiadomionych, poczęło chylić się na ich stronę, ogłosiłem walne zgromadzenie, na którem przedstawiłem wszystkim stan interesujących nas rzeczy i co nam czynić wypada. Chodziło mi przedewszystkiem o dostanie sędziego Polaka i praw wyłącznie dla Panny Maryi. Po przedstawieniu całej sprawy, sam wydałem bilety na kogo mają głosować. Dla pewności by żaden nie zawiódł, na dzień naznaczony elekcyi, kazałem wszystkim zebrać się na pewnem miejscu, by ztamtąd razem na koniach ciągnąć do Heleny. Radę przyjęto, o godzinie 10 z rana już wszyscy zjechali się na miejsce przeznaczone, i mój konik osiodłany niecierpliwie czekał na mnie. Siadłem więc nań i w porządku maszerujemy do Heleny na wybory. Dojeżdżając do miasta, już zdala wybiegali Amerykanie ze swoich domów, przypatrzyć się dziwnemu wojsku. Aż wreszcie poznają księdza na czele i jego parafian.

— Aha! wyrzekli: zmądrzeli, już teraz nic na nich rachować nie możemy. Patrzcie jaka demonstracya! Teraz chyba probójmy namawiać księdza, bo z innymi rzecz stracona.

Probowano, ale napróżno, rzuciliśmy swe losy, i dalej w tym samym porządku wracamy do domu. W drodze moi wiarusy ucieszeni ze swojej szczęśliwej wyprawy, krzyknęli hura! na wyścigi, i wnet puścili konie galopem. Naraz aż się zakurzyło, kapelusze z głów pospadały, tak jeden drugiego gonił. Chciałem wstrzymać swojego konia, ale gdzie tam, zoczywszy kolegę kilka kroków naprzód, pędził jak wściekły, po chwili słyszę jakiś ciężki i donośny oddech lecącego konia za sobą; na razie zląkłem się coby to był za upiór, oglądam się aż tu jeden z moich wiarusów sadzi przez krzaki, rowki i kaktusy w chęci wyprzedzenia mnie, tuż, tuż, już dobiega, wtem padł koń pod nim i tak silnie, że jeździec z niego poleciał naprzód o jakie 10 kroków; koń został na miejscu, jeździec wstał bez uszkodzenia, wziął siodło z konia na siebie i tak 3 mile angielskie musiał wędrować do domu. Po tym wypadku w różne strony rozbiegliśmy się po polu, mając rozhukane konie i długo nie mogliśmy ich uspokoić, każdy jakby pojmował o co chodzi, łbem i rżeniem tryumf swój zatwierdzał.

Wybory udały się szczęśliwie, dostaliśmy sędziego ziomka.

## Życie prowincyonalne w Grecyi.

(Dalszy ciąg).

### II.

Starodawne zwyczaje wschodnie przechowały się tylko po wsiach i w małych miastach; w Atenach wpływ francuzki coraz wszechwładniej się rozwielmożnia, czuć go nawet w języku krajowym do którego wprowadzono wiele bardzo wyrażeń, zwrotów a nawet galicyzmów. Jak wszystkie odradzające się państwa, Grecya po wstrząśnieniach politycznych, przechodzi teraz reformę piśmiennictwa, przeciwstawiającą jakby dwa odmienne języki, i niezawodnie nowszy odniesie zwycięztwo, gdyż dziś już w pisaniu wyłącznie prawie jest używany.

Wpływ ten francuzczyzny i w poezyi nawet uczuć się daje, i dziś Grecy posiadają swoją poezyę klasyczną i ludową. Klassyczna jest jakby odbiciem utworów poetów francuzkich, piszących za czasów wojny o niepodległość grecką, ludowa zaś obejmuje pieśni przechowane od dawna w pamięci ludzi lub napisane w narzeczu ludowem. Nie zaleca się ona nauką ani wytwornością, ale naiwnie, choć niekiedy za szorstko maluje szczere, niekłamane uczucia. Słysząc starego Greka jak wypowiada te pieśni zawsze młode, jędrne, napiętnowane dziką jakąś harmonią odgadnąć łatwo jacy to ludzie je układali, w jak strasznych okolicznościach budziło się ich natchnienie. Po większej części są to pieśni kleftów lub wojenne okrzyki bohaterów niepodległości, albo też pienia miłosne, tkliwe i smętne, rzewne i wdzięczne.

Zarówno jak dwa rodzaje poezyi, Grecy mają także dwa oddzielne rodzaje muzyki. Pierwszy jest naśladownictwem melodyi włoskich a szczególniej Verdi'ego, który jest bardzo lubiony i rozpowszechniony w Atenach; drugi rozpowszechniony po wsiach i w dalekich prowincyach, można nazwać muzyką ludową, albowiem lud bardzo jest rozmiłowany w tej muzyce stanowiącej nieodstępną towarzyszką wszelkich jego zabaw, wesel, uroczystości i odległych spacerów w dnie świąteczne.

Muzyka rozpowszechniona na prowincyi zbliża się bardzo do tureckiej i tem jest gorsza im więcej od niej odstępuje. Jest to melodya żałośna, jednotonna, zazwyczaj smutna niekiedy znów wesoła i hałaśliwa. Prawie każde małe miasteczko ma swoją orkiestrę.

Jakkolwiek Grecy mają w mowie głos bardzo silny, zazwyczaj jednak nie posiadają żadnej zdolności do śpiewu, jak to jest właściwe wszystkim ludom wschodnim. Jeszcze śpiewy ludowe, choć nie zbyt melodyjne, są przynajmniej dość oryginalne, a silne ich i szorstkie głosy zgadzają się dość z dzikością otaczającej przyrody, ale śpiewy salonowe, nieco nosowym wykonywane głosem, rażą ucho najmniej muzykalne.

Grecy przechowali dotąd nadzwyczajne zamiłowanie w tańcu; szczególniej po wsiach żadna zabawa, wesele, święto, żadna uroczystość nie obejdą się bez niego. Wszyscy Grecy doskonale tańczą, kształtna ich i zwinna postać wybornie się do tego nadaje. W każdej wsi i w każdem mieście są znakomici tancerze, słynni zręcznością z jaką przewodniczą w tańcu. Młodzież w liczbie trzydziestu do czterdziestu osób, gromadzi się najczęściej na wolnem powietrzu, i biorąc się za ręce tak razem tańczą i skaczą według miarowego rytmu pieśni którą wszyscy powtarzają. Gdy kostiumy są różnobarwne i bogate, łańcuch ludzki który się zbliża, rozwija, ścieśnia i rozbiega, nader wdzięczny dla oka przedstawia widok. Śpiew podnosi się lub zniża, zwalnia lub przyśpiesza zgodnie z poruszeniami tańca; niekiedy na znak przewodniczącego palikara, każdy tancerz puszcza rękę sąsiada którą trzymał wzniesioną po nad głową, obraca się w koło i każdy z kolei chwyta rękę stojącego przy sobie, śpiewając coraz głośniej. Gdy który tancerz usuwa się zmęczony, natychmiast zastępuje go ktoś z widzów i taniec trwa ciągle równie ożywiony, a obroty i śpiew tak są zgodne jak gdyby cały ten długi szereg zlał się w jedną całość.

Jest wiele innych jeszcze tańców ale ten przechował się najwierniej; jest to tak zwany w starożytności *ormos* czyli łańcuch, opisywany przez starożytnych autorów. Wyższe towarzystwo tańczy go nader rzadko i tylko w wyjątkowych okolicznościach; walec i kontredanse zajęły jego miejsce.

Za to uroczystości religijne i cześć oddawana Świętym przechowują się nienaruszenie; Grecy umieją nadawać odrębny charakter każdej uroczystości religijnej. Dzień nowego roku *Protochronia* czyli *Aios-Vasilios* jest dniem ogólnej radości, obchodzi się uroczyście w każdym domu a program obchodu nie zmienił się od najdawniejszych czasów. Cały tydzień, od Bożego Narodzenia, wszyscy zajęci są przygotowaniami do uroczystości, a zajęcia te są jednakowe tak w najbogatszych jak w najbiedniejszych domach. Przygotowują najrozmaitsze ciasta a szczególniej tak zwane *Vasilo-pita* (placek Bazylego), bywa on różnej wielkości, a niekiedy aż metr szeroki, dobrze polany oliwą a w środek kładzie się sztukę monety. W dzień N. Roku placek ten się kraje, kawałki biorą się na traf, a kto dostanie pieniądz jest to wróżba, że cały ten rok szczęście we wszystkiem sprzyjać mu będzie.

Święto Trzech Króli zowie się u Greków *Phôta* (światło,) ponieważ według legendy jest to dzień w którym chrzest Chrystusa świat cały oświecił. W dniu tym odbywa się obrządek święcenia wody; z wielką okazałością wrzucają krzyż do wody, następnie wodę święcą w kościele, po czem księża processyonalnie obchodzą miasto i wstępują do wszystkich domów aby je święcić nowo poświęconą wodą.

Ostatki są bardzo długie gdyż trwają całe trzy tygodnie, i przez te dnie kościół uwalnia zupełnie od postu. W Atenach jest zwyczaj przebierania się w pewne dni a szczególniej we czwartek który nazywa-

ją *Tzikno-pempti* (pieczony czwartek) z powodu licznych festynów w dniu tym wyprawianych; w innych miastach zwyczaj ten praktykuje się tylko w ostatnie trzy dni zapust. Wtedy młodzież i dziewczęta przebierają się w najrozmaitsze kostiumy i razem zaczynają oddawać wizyty. W tym celu zbierają się w liczne gromady, w maskach na twarzy, i z muzyką lub bez zaczynają odwiedzać domy wskazane przez kogoś z przebranych. Wchodzą śpiewając, każdy zmienionym głosem, przesadzają się w śmiesznych minach i ruchach, starając się zarazem wszelkimi sposobami zabawnie intrygować pana i panią domu. Gdy ktoś nieuważny da się poznać, cała gromada musi się demaskować i wynosi się ze śmiechem, aby też samą zabawę wyprawiać sobie w innych domach.

Zapust kończy się w niedzielę o północy. Grecy bardzo ściśle post zachowują ale za to każdy w ostatki je za dziesięciu. Przez cały post nie jedzą mięsa, tylko kawior, oliwki, ryż i jarzyny okraszone oliwą, a w środy i w piątki żadnej nie używają okrasy. W ciągu postu wielkiego, dwa dni tylko jedzą ryby, w Niedzielę palmową i d. 25 marca, który nazywają *Ewangelismos*, jest to święto Zwiastowania N. M. Panny. Ta uroczystość religijna jest zarazem rocznicą oswobodzenia Grecyi którą tam obchodzą nader wystawnie. Dnia 25 marca 1821 roku, arcybiskup Germanos pierwszy podniósł w Kalawryta chorągiew wolności.

Pierwsza sobota postu jest nazwana *Psycho-sabbaton* (świętem dusz); w dniu tym każdy udaje się na cmentarz odwiedzić miejsce spoczynku zmarłych rodziców, krewnych lub przyjaciół. W Aïgion jest zwyczaj, iż w dniu tym we wszystkich kościołach rozdają wiernym i dzieciom obstępującym drzwi świątyni tak zwaną *kollyra*; jest to mieszanina zboża, sztuki mięsa, suchych rodzynków, migdałów i ziarnek granatu, którą także zamiast kart pogrzebowych rozsyłają przyjaciołom zmarłych, w przeddzień ich pogrzebu. Zwyczaj nakazuje stawiać ją także przy zmarłych. Obrządek ten pogrobowy sięga bardzo odległej starożytności, i był zachowywany u wszystkich ludów zamieszkujących kraje leżące między Adryatykiem a morzem Egejskiem.

Z nadejściem wielkiego tygodnia post staje się jeszcze ściślejszy i każdy codziennie wieczorem udaje się do kościoła: jest to uważane za tak święty obowiązek iż najlekkomyślniejszy, najmniej wierzący Grek nie ważyłby się z niego wyłamywać. W wielki czwartek czytają dwanaście Ewangelji i obrzędek kościelny przeciąga się bardzo późno. W wielki piątek wszyscy odwiedzają kościół dla ucałowania krzyża Zbawiciela; kościoły są wtenczas smutne, ponure, milczące, zaledwie oświetlone, na ulicach zaś gwarno i ludno, gdyż chodzące po nich tłumy wiernych rozmawiają nieustannie.

W wielką sobotę przed północą ludność tłumnie znów gromadzi się w kościele na uroczystość rezurekcyjną. Z początku zupełna prawie ciemność panuje w kościele, przed ołtarzem kapłan ciche odprawia modlitwy; o samej północy rozlega się śpiew wesoły, zapalają mnóstwo świec, i kapłan intonuje głośno: *Christos anesti ek nekron*. Wszyscy powtarzają te słowa, witają się, winszują, ściskają i przy radośnych okrzykach wracają do domów.

Święta Wielkiejnocy trwają trzy dni. Już w sobotę pasterze z okolicznych gór i wiosek przyprowadzają do miasta liczne swoje trzody; każdy, nawet najbiedniejszy wybiera barana i zarzyna go w swojem podwórzu; jest to prastary zwyczaj i zabobon że ofiara ta szczęście przyniesie domowi. W niedzielę rano rozpalają na dziedzińcu wielki ogień i zamiast rożna kładą ociągniętego ze skóry barana na długiej prostej desce i pieką na ogniu. O tej godzinie całe miasto jest puste i milczące jak grób umarłych, wszystkie domy są pozamykane, nikt, nawet dzieci nie wychodzą na ulice.

Pierwszy czwartek po Świętach jest dniem wielkiej uroczystości miejscowej w Aïgion zwanej świętem *Tripiti*. Nazwa ta pochodzi od małej kapliczki tego nazwiska, urządzonej w wydrążeniu skały nad brzegiem morza, od wschodniej strony miasta. Zaraz od rana wszyscy mieszkańcy: kobiety, mężczyzni, dzieci odprawiają pielgrzymkę do tej kapliczki, następnie wracają wszyscy razem z towarzyszeniem wystrzałów i huku kotłów. Zatrzymują się na promenadzie zwanej Galaxidi; młodzież należąca do parafji katedralnego kościoła, przybrana w najświetniejsze stroje i zbrojna w najlepszą i najpiękniejszą broń jaką posiada, zbiera się bandami i gromadnie przebiegą miasto; na czele postępuje dobosz z bębnem i jeden niesie chorągiew parafialną. Przez cały uprzedni tydzień w całem mieście zbierają kwesty na urządzenie tej uroczystości i potrzebnych do niej *varellota*. Są to małe jakby skrzyneczki mające około 10 centymetrów obwodu, zrobione z bardzo twardej tektury i szczelnie obwiązane sznurkiem wysmarowanym smołą; do nich przytwierdzona jest rurka z trzciny dla osłonienia lontu, i oto co się nazywa *varellota*.

Bandy dobrze zaopatrzone w amunicyę przechodzą ulice śpiewając dopókąd nie spotkają się z bandami należącymi do parafji Św. Andrzeja; wtedy rozpoczyna się utarczka. Tworzą się dwa przeciwne obozy, i każdy wyciągając z za pasa swoją *varellota*, zapala ją o płonącą głownię i rzuca na przeciwników. *Varelloty* latają na wszystkie strony, krzyżują się i mijają znacząc w powietrzu smugi dymu i spadając niby grad granatów na obóz nieprzyjacielski, rozpękując się z głośniejszym hukiem niż wystrzały z ręcznej broni. Łatwo pojąć, że barbarzyńska ta zabawa daje powód do bardzo licznych, często nader groźnych wypadków. Często jakiś szermierz nie dość ostrożny lub za powolny doczeka się tego, że mała ta bomba wybuchnie w jego ręku, i trudno zliczyć ile z końcem dnia bywa rąk pokaleczonych lub zostaje kalekami na całe życie. Podobne wypadki powtarzają się rok rocznie, a jednak nikt na nie nie zważa, i najmocniej okaliczeni w jednym roku, w następnym znowu przyjmują udział w tej dzikiej zabawie. Niekiedy potyczka zamienia się w prawdziwą walkę; obie strony roznamiętniają się walcząc za swój kościół i jego chorągiew, i gdy zbraknie *varellotów* zaczyna się bójka na pięści. Najzaciętsi dobywają z za pasa sztylety i pistolety i nieraz nazajutrz któryś z walczących umiera skutkiem ran odniesionych.

Dzień 23 kwietnia obchodzony jest w Grecyi jak święto narodowe, gdyż jest to dzień Św. Jerzego, patrona ich króla. Tak w Aïgion jak we wszystkich miastach prowincyonalnych, jest zwyczaj że w tem dniu mieszkańcy odwiedzają się wzajemnie, winszując sobie imienin, uważają bowiem Św. Jerzego za wspólnego patrona. W ogóle najpowszechniejsze są w Grecyi imiona: Jerzy, Dymitry, Konstanty, a że najdalsi nawet znajomi nie zapominają nigdy składać życzeń solenizantom, warto jest być w tym dniu w domu jakiejś więcej znanej osobistości, gdyż można tam poznać wszystkich niemal mieszkańców miasta. W dzień Św. Jerzego, wszyscy noszący to imię, już od rana przyrządzają wielkie tace u zamożnych srebrne, i te zastawiają konfiturami, drugą filiżankami do kawy a na trzeciej kładą wielkie cygarety. W przed dzień już najstaranniej myją białe podłogi salonów i w około ścian rzędem ustawiają krzesła. O przyjętej godzinie znajomi i przyjaciele przybywają gromadnie, wchodzą do sali i szeregiem przechodzą koło gospodarza domu lub jeśli ten wyszedł z powinszowaniami, koło jego żony, i ściskając rękę wymawiają zawsze te tylko słowa: „*eis eli polla*“, t. j. „żyj długo“ po czem siadają na ustawionych krzesłach. Wtedy zaraz podają trzy tace; z pierwszej każdy bierze łyżkę konfitur i szklankę wody, z drugiej filiżankę kawy, z trzeciej cygarettę; cała ta ceremonija trwa w przecięciu kilka minut, poczem wszyscy wstają i wypowiedziawszy znów *eis eti polla* idą do drugiego solenizanta.

Dzień 1 maja jest świętem kwiatów; wtedy wszyscy udają się do „ogrodów“ tak nazywają się ogrodzone miejsca w środku pola, jakie posiadają wszyscy właściciele winnic, aby z nich w lecie doglądać zbiorów. Wychodzą raniutko i wracają z pełnemi koszami kwiatów, któremi przyozdabiają fasady domów. Nie mający swoich „ogrodów“ wychodzą w nocy i wchodząc do cudzych zrywają kwiaty; w tym razie kradzież jest tolerowana jako starodawny zwyczaj.

Wniebowstąpienie, Zielone Świątki i uroczystość Św. Trójcy, nie odznaczają się żadną odrębną cechą. W dniu 21 maja, Grecy obchodzą jednocześnie uroczystość Św. Konstantyna i matki jego Św. Heleny, prawie równie solennie jak święto Św. Jerzego. Uroczystość ŚŚ. Piotra i Pawła oraz Wniebowzięcia N. Maryi Panny, poprzedza post dwutygodniowy; święta te obchodzone bywają uroczyście i wystawnie, a po nabożeństwie wszyscy udają się na wielki rynek na którym urządzony jest *Panegyries* rodzaj jarmarku, podczas którego panuje największa wesołość i swoboda. Uroczystość WW. Świętych jest świętem tylko kościelnem, i od niej rozpoczyna się długi post, poprzedzający Święta Bożego Narodzenia. Post ten nie jest tak ścisły jak wielki post, a zaraz po nim następują wesołe festyny i uciechy trwające przez trzy dni świąt a niekiedy aż do N. Roku. Cały ten tydzień wyprawiają sute biesiady i najrozmaitsze zabawy: we wszystkich domach pieką ciasto zwane *Christopsōma*; znajdzie je nawet w najbiedniejszych chatach.

Dnie te nastręczają także najlepszą sposobność poznania ich, gdyż inne mijają im tak cicho i monotonnie, jak gdyby w długim śnie pogrążeni zapomnieli o sobie samych, zatapiając się w gnuśnej bezmyślności. Z nadejściem święta budzą się i jakby wracają do życia; wtedy to odsłaniają się prawdziwe, całkiem odrębne cechy ich charakteru, a bystry badacz dostrzega z zadziwieniem żywe instykta i namiętności, których zimna zazwyczaj ich powierzchowność domyślać się nawet nie dozwala.

*(d. n.)*

# Korespondencya ze Lwowa.

(Dokończenie).

Dawno już nie byliśmy świadkami tak zajmującej i pod wielu względami bardzo ważnej polemiki literackiej, jak ta, którą w ubiegłym miesiącu stoczył profesor seminaryum nauczycielskiego we Lwowie, redaktor pedagogicznego czasopisma *Szkoła*, znany z pięknych dzieł historyczno-geograficznych Lucyan Tatomir z redaktorem rubryki literacko-artystycznej w Gazecie N. Przedmiot tej obszernej z otwartą przyłbicą przeprowadzonej polemiki, da się w kilku wierszach streścić. Literacko-artystyczny kierownik Gazety N. wytknął kilka razy *Szkole*, że odkąd z pod redakcyi dr. Samolewicza przeszła w ręce p. Tatomira, odpowiada mniej swojemu fachowemu zadaniu umieszczając w szczupłych, zaledwie na szkolne i pedagogiczne sprawy wystarczających ramach tego pisma, różne artykuły treści geograficznej lub z dziedziny nauk przyrodniczych. Wzmianki te wydały się panu Tatomirowi początkiem systematycznej uprzedzeniami podyktowanej walki przeciw jego re-

dakcyi, a ponieważ już przedtem między obu przeciwnikami istniało jakieś nieporozumienie w sprawie wykładów historycznych, przez p. Tatomira w pensyonacie udzielanych, — więc był powód dostateczny do wybuchu. P. Tatomir byłby przegrał sprawę bez żadnej apelacyi, gdyby polemika jego była wyłącznie wynikiem obrażonej ambicyi redaktorskiej. Ale polemika p. Tatomira miała punkt wyjścia, naszem zdaniem bardzo trafny i nowy a przynajmniej dotąd przez wszystkich z bojaźni przed Gazetą N. czy z apatyi pomijany. Od kilku lat t. j. od chwili, gdy adwersarz p. Tatomira objął redakcyę fejletonu Gazety N. wyrobiła się tam formalna dyktatura krytyczno-artystyczna w najnieznośniejszem tego słowa znaczeniu, bo pozbawiona prawnego tytułu i powodująca się pobudkami nie mającemi żadnego związku z neutralnem polem literatury i sztuki. Literacko-artystyczny dyktator Gazety N. jest zkądinąd osobistością zasłużoną ale powaga literacka, za jaką na pozór uchodzi czy uchodzić pragnie, nie ma podstawy. Jeżeli komuś losy kazały być bezpośrednim uczestnikiem różnych burzliwych wydarzeń i rzucały nim nieustannie po bożym świecie, a wrodzony dar spostrzegawczy i łatwość pisania pozwoliły mu ująć wrażenia doznane w obrazki więcej ożywione i nie odstręczające od siebie czytelnika jałową jednostajnością naszej najświeższej literatury pamiętnikowej, to tem samem nie uzyskało się jeszcze patentu na nieomylnego znawcę we wszystkich sprawach literackich, naukowych i artystycznych, to to jeszcze nie uprawnia nikogo do wypowiadania stanowczego sądu o książkach i ludziach w formie osobistego, przedmiotowo nie umotywowanego zdania, któreby powinno i musiało uchodzić za nietykalną prawdę. Jeżeli taka dowolność krytyczna dosięgnie początkującego pisarza, to musi się zadowolnić tylko nadzieją, że ktoś inny, ujmie się za nim, bo jego wystąpienie w własnej obronie byłoby wśród naszych obecnych stosunków dziennikarsko-literackich nietylko trochę niebezpiecznem, lecz może nawet wprost niemożliwem. Ale pisarz tak sympatyczny jak p. Tatomir mógł śmiało wystąpić do walki i wyjść z niej zwycięzko zwłaszcza w obec faktu, że na sobie doświadczył, jak często w rubryce literacko-artystycznej Gazety N. jej redaktor zapomina o przedmiotowym rozbiorze książki, lub pisma dla politycznych lub społecznych opinji autora. Bywały wypadki że dla kilku banalnych frazesów wynoszono słabe rzeczy, i pasowano ich autorów uroczyście na rycerzy pióra a natomiast milczeniem pomijano utwory, którym należała się choćby krótka i obojętna wzmianka, jeżeli nie dla rzeczywistej wartości to przynajmniej dla nazwiska autora. Dalecy jesteśmy od podsuwania temu kierunkowi złej wiary lub niskich motywów, ale to pewna, że splątanie literatury i sztuki z tendencyami społecznemi lub opinijami politycznemi, nigdy nie wychodzi na ich korzyść. Jeżeli pisarz niepospolitych zdolności i rzetelnej nauki skazany jest na pogardliwe milczenie krytyki o jego dziełach dlatego, że przypadkiem należy do grona redakcyi pisma ultramontańskiego lub konserwatycznego, to krytyka traci wszelkie znaczenie a raczej spada do rzędu tuzinkowych środków propagandy i może nawzajem być lekceważoną. Ludzi stałych i wytrwałych nie zniechęci takie postępowanie ale młodsze pokolenie wystawione jest na demoralizacyę i uczy się wcześnie hołdować prądom chwilowo przemagającym i popłacającym. Kilka uwag powyższych, w które dla lokalnego charakteru bliżej wchodzić nam niepodobna, przytoczyliśmy dla tego, ażeby objaśnić znaczenie ciekawej polemiki p. Lucyana Tatomira z Gazetą N. Jak w społeczeństwie każdy obywatel obowiązany jest bronić swego prawa naruszonego bez obawy o zarzut pieniactwa, gdyż tylko w ten sposób zbawienne dla dobra publicznego poczucie prawa utrzymuje się ciągle w świeżości i przenosi się na coraz szersze koła, tak i w życiu literackiem poczytywać to można za dobry przykład, jeżeli ktoś niesłusznie dotknięty przez zwichniętą krytykę, ujmie się za sobą jak p. Tatomir z godnością i umiarkowaniem. Kilka takich nauczek stanowiłoby zbawienną przestrogę dla baszów krytycznych, którzy rozdzielają pochwały i nagany według kaprysów osobistych a często z samowolą w oczy wpadającą. Jeżeli polemikę p. Tatomira nazwaliśmy umiarkowaną, to nie należy tłomaczyć tego wyrazu w znaczeniu ścisłem lecz lokalno-lwowskiem. Nie brakło i w tej polemice wyrazów nieco za ostrych lub aluzyi trochę za przykrych, ale wszystko to jest arcy-umiarkowanem w porównaniu z praktykowanym we Lwowie od kilku lat tonem i kierunkiem polemik dziennikarskich. Trzeba przyznać także i przeciwnikowi p. Tatomira, że w odpowiedzi swojej nie unosił się wcale i nie uchybił przeciw godności dziennikarskiej. Może kilka w ten sposób prowadzonych sporów literackich, mogłoby poprawić ton naszej polemiki dziennikarskiej i zachęcić wszystkich dziennikarzy do pozbycia się straganiarskich nabytków językowych. Byłaby to korzyść znakomita w stosunku do poniesionej ofiary.

Tegoroczna nasza wystawa obrazów nie może się równać z poprzedniemi ani doborem ani nawet liczbą dzieł wystawionych. W chwili, gdy to piszemy, wystawa nie jest jeszcze kompletną, ale nowe obrazy nie wpływają tak obficie, ażeby później wypadło cofnąć powyższe zdanie ogólne. Bardzo trafnie podniósł jeden z recenzentów, że Towarzystwo sztuk pięknych urządza wystawy w bardzo niedogodnej porze roku, i z tego powodu nie może się pochlubić, żeby artyści chętnie spieszyli z dziełami swojemi na otrzymane zaproszenie. Wystawa rozpoczyna się w maju ale zawsze miesiąc ten jest stracony dla publiczności, bo każdy wie, że to dopiero początek, niejako przygotowanie, że główny transport od znakomitszych artystów stanie we Lwowie aż w czerwcu. Właściwie zatem z 3 miesięcznego okresu wystawy pozostaje tylko 5 — 6 tygodni, w których publiczność ma przed sobą salę zapełnioną i godną zwiedzenia. Ale są to właśnie tygodnie czerwcowe i lipcowe, w których szeregi publiczności są znacznie przerzedzone. Większa część osób, które mają zmysł i czas potrzebny do szukania szlachetniejszych rozrywek estetycznych, bawi na wsi albo u wód i wraca dopiero pod jesień. Rzecz naturalna, że w takim składzie rzeczy Towarzystwo sztuk pięknych nie ma takiego dochodu z kart wstępu, jakiby osiągnąć mogło w każdej innej porze roku. Artyści zaś nie bardzo chętnie biorą udział w wystawie wiedząc, że dzieła ich nie będą mogły przedstawić się właśnie tej klasie ludności, która umie cenić ich wartość i chętnie je nabywa. Spostrzeżenie to zupełnie uzasadnione i dające się poprzeć nietylko stanem kasy wystawowej lecz także żywem świadectwem artystów, już dawno powinno było skłonić Towarzystwo sztuk pięknych do wyboru innej pory roku na urządzanie wystaw. Można to wykonać bardzo łatwo ku zadowoleniu publiczności i artystów a bez żadnej kolizyi z innemi wystawami.

Jeżeli wystawa zasili się jeszcze świeżemi dziełami poświęcimy jej może osobną korespondencyę. Dziś wypada poprzestać tylko na przelotnem wskazaniu wybitniejszych obrazów z lwowskiej wystawy. Pierwszorzędne miejsce tak co do rozmiarów jak i pomysłu artystycznego zajmuje obraz Floryana Cynka z Krakowa (Długosz z Jagiellończykami) i Bolesława Łaszczyńskiego z Rzymu (Tajna wiadomość). Ostatni artysta mało dotąd znany lwowskiej publiczności ale bardzo dobrze zalecający się tem dziełem niezwykłem, przysłał jeszcze drugi obraz przedstawiający przystań rybacką w Sorrento. Obok tych dwóch obrazów staje zaraz Mireckiego Kazimierza z Kamieńca podolskiego „Wprowadzenie muzyki włoskiej na dwór Zygmunta I przez królową Bonę.” Zbyt efektowny koloryt tego obrazu może wzbudzić obawę, czy ten sympatyczny artysta, znany pochlebnie z poprzednich wystaw, nie zaczyna nadużywać tych środków, któremi jego dawniejsze obrazki ujmowały widza zaraz na pierwszy rzut oka. Za to w całem ugrupowaniu osób i układzie przebija się dawny wdzięk obok poważnego stylu. Są jeszcze dwa mniejsze obrazy tego artysty: „Głowa starca” i „Przechadzka w parku.” Kozakiewicz Antoni z Monachium i Józef Chełmoński nadesłali dotąd tylko po jednym obrazie (Opuszczona i Lekka kawalerya) ale mimo to można powiedzieć, że są dobrze reprezentowani. Gryglewski Aleksander wystawił „Część wnętrza kościoła Maryackiego w Krakowie”. Na tem polu Gryglewski doprowadził do doskonałości i nie ma współzawodnika. Lwowianin Zygmunt Sidorowicz bawiący obecnie w Monachium wystawił dwa obrazki (głowa kobieca i grupa drzew). Jeżeli nie przypomni się jeszcze jakim obrazem znaczniejszym, to narazi się na zarzut, że już na drugiej z rzędu wystawie niezupełnie odpowiada wysokim wymaganiom, jakie stawia mu krytyka lwowska ceniąca w nim od dawna talent niepospolity. Dzisiejsze dwa obrazki Sidorowicza noszą piętno tego talentu, ale mogłyby zupełnie zadowolić przed laty, gdy artysta wyrabiał sobie dopiero reputacyę. Löffler Leopold z Wiednia jak zawsze tak i teraz przypomniał się nam wdzięcznym bardzo obrazkiem (Mały psotnik). Między portretami, których liczba jest wcale znaczną, góruje obraz Rodakowskiego ze Lwowa przedstawiający hrabinę Dzieduszycką. Stoi on zupełnie na równi artystycznej z obrazem, w którym ten artysta przedstawił nam przed laty swego brata pułkownika a który krytyka jednomyślnie nazwała dziełem znakomitem. Grabowski Andrzej ze Lwowa ma już ustaloną reputacyę niepospolitego portrecisty a dwa portrety męzkie w tym roku wystawione mogą tylko utrwalić tę reputacyę. Powiedzieliśmy na wstępie, że tylko przelotnie oprowadzamy czytelnika po sali wystawy, więc sprawozdanie o dziale obrazów olejnych zamykamy wymieniając tylko reprezentowanych artystów. Benedyktowicz L. z Krakowa nadesłał obraz większych rozmiarów (Nad mogiłą), Penter Daniel z Wiednia portret Bohdana Zaleskiego, Piotrowski Antoni z Monachium wcale sympatyczny obrazek (Marcowa droga), Jabłoński Izydor z Krakowa portret J. Matejki i Madonnę z Lourdes, Gałuszkiewicz Jan z Krakowa kilka cennych kopji. Kowalskiego Alfreda z Monachium „Rozjazd na kwatery” zajmuje celniejsze miejsce.

Dział akwarel, rysunków i obrazów pastelowych jest także nieliczny w tym roku. Wyborne akwarele Julijusza Kossaka z Krakowa zajmowały dawniej więcej miejsca niż na tegorocznej wystawie. Zwolennicy sportu mają jednak co podziwiać i na tegorocznej wystawie, bo na żadnym obrazie współczesnych artystów nie znajdą tak doskonale oddanych koni. Maleszewski Tytus z Warszawy od lat kilku stały uczestnik naszych wystaw, przypomniał się dwoma miłemi portretami pastelowemi. Tepa Franciszek choć Lwowianin zapomniał widocznie o nas, bo w tym roku wystawił już tylko jeden portrecik syna hr. Załuskiego. Jestto na tak piękny talent mało, nawet bardzo mało.

W stosunku do poprzednich wystaw dział rzeźb jest wcale obfitym i ciekawym. Króluje w nim lwowski artysta Tadeusz Barącz, który wystawił 9 przedmiotów. Jako najważniejsze wymieniamy: Pocałunek Amora, biusty księcia Leona Sapiehy i J. Ma-

tejki, medalion wykuty dla grobowca rodziców lwowskiego artysty Tepy i t. d. Są to dzieła, któremi artysta mógłby zwrócić na siebie uwagę nawet na najbogatszych wystawach zagranicznych. Przebija w nich talent niepospolity a wykształcony starannie na wzorach włoskich mistrzów. Obok Barącza wymieniamy także warszawskiego artystę Teodora Rygiera, który wystawił piękny portret J. Matejki na płaskorzeźbie z białego marmuru. Lwowski artysta Tadeusz Błotnicki, któremu sejm dwa razy przyznał stypendyum na wykształcenie się za granicą, wystawił medalion gipsowy przedstawiający ekonomistę J. Supińskiego. Medalion świadczy, że stypendyum dostało się w dobre ręce.

Matejko, który w sali wystawy przypomina się nam na każdym kroku z płaskorzeźb i portretów, nie był w tym roku łaskaw dla Lwowa. Nie jestto wcale niechęć lub lekceważące zapomnienie. Genialny artysta krakowski pracuje teraz nad nowem arcydziełem przedstawiającem bitwę pod Grunwaldem. Ci, którzy widzieli rozpoczęte dzieło w pracowni, zapewniają że nietylko olbrzymiemi rozmiarami lecz także i wartością artystyczną przewyższa dotychczasowe utwory genijalnego autora. Wśród pracy nad takiem dziełem nie mógł Matejko pamiętać o wystawach a komu zależy na tem, ażeby bitwa pod Grunwaldem olśniła świat cały, ten nie może mieć z tego powodu żadnego żalu do wielkiego mistrza.

*B. Ł.*

## Przegląd literacki.

**Eli Makower**, powieść E. Orzeszkowej, dwa tomy. Warszawa, 1875.

(Dokończenie).

Taka jest w głównym zarysie treść dzieła. Akcya żywa i wszędzie zajmująca; pojedyncze charaktery nakreślone w ogólności udatnie jak Makower, Mieczysław, Michalina, Lila, Porycki, Łozowicz i wyborne postacie jego rezydentów — Hrychorego i Pawła Szyłły i rezydentek. Augustyn Szyłło przedstawia stare pokolenie urzędnicze wytrącone z dawnej kolei i nie umiejące trafić na prostą drogę, jak ów nieszczęsny Konrad Ręczyc i jego rodzina przedstawiają wytrąconych z dotychczasowej kolei ziemian, nie umiejących i nie mogących nic począć.

Młody Szyłło, ów postępowy Abramek Makower i młodszy brat Mieczysława są to przedstawiciele tej części „młodego pokolenia“ które ze śmiechem i śpiewką przeskakuje gruzy i myśli tylko o używaniu życia. Porycki jest wybornym typem sofisty najnowszego gatunku, który swą służbę w sprawie nieczystej umie pokryć wykrętnemi słówkami i górnobrzmiącymi frazesami, który swą działalność niszczącą i zgubną zdoła przewrotnie wystawić w świetle poświęcenia się, zasług dla ludzkości i zagrożonego społeczeństwa. Tacy ludzie nie mają ani narodowości ani religii — bożyszczem ich jest pieniądz, jak i dla Makowerów, lecz są tysiąckroć od tych ostatnich w skutek swojej obłudy, sofistyki i kłamstwa, stokroć niebezpieczniejszymi w skutek powierzchownej ogłady i blichtru nauki.

Najsympatyczniejszymi przedstawicielami młodego pokolenia ludzi, pokładających nadzieję w pracy i wytrwałości są Mieczysław i Michalina. Ruina spotkała niezaradnych i niedołężnych jak Łozowicz Ręczycowie; pracowity i wytrwały Mieczysław od niej się uchronił. Oby tak było w rzeczywistości, jak w tej powieści.

Oddawszy wszelką słuszność zaletom powieści, nad którą zastanawiamy się tak obszernie dla tego, że świadczy ona dobitnie o dojrzeniu talentu autorki i jest może najlepszą z jej utworów, musimy teraz zwrócić się do stron ujemnych.

Przedewszystkiem, za główną wadę powieści uważamy całkowity niemal brak, żywiołów i czynników chrześcijańskich. W obrazie tak szerokich rozmiarów, gdzie występuje tyle osób z rozmaitych warstw społeczeństwa, zwłaszcza gdzie tyle postaci niewieścich, nie ma nigdzie kojącego boleść i uszlachetniającego charaktery wpływu religji chrześcijańskiej. A jednak w naszem społeczeństwie bez tego czynnika obejść się niepodobna; nawet wierność obrazów i prawda życiowa na tem cierpią, że jakoś wszystkie niemal postacie są jakby bezwyznaniowe, kierujące się zasadami rozumowej, niezależnej moralności; czytając Makowera zapominamy częstokroć, że rzecz dzieje się w kraju chrześcijańskim. Czy nie było np. rzeczą naturalną, ażeby Lila, upadła, złamana i zdradzona, szukała pociechy w religji, a jeżeli prawdziwego uczucia religijnego nie zaszczepiła w jej duszy matka, czy nie wypadało ażeby ktoś wziął na siebie to zadanie? W pani Orchowskiej wyszydziła autorka wyraźnie martwą dewocyą i czcze praktyki bez uczynków, a raczej w sprzeczności z uczynkami zostające; nie chcemy posądzać autorkę o nieprzychylność dla religji, ale mówiąc prawdę, posądzenie to łatwo przyjść może, gdy zważymy, że obok skarykaturowanej religijności nie widzimy przeciwstawionej religijności prawdziwej, jak gdyby ta była całkiem zbyteczną. Albo np. nauki i uwagi starego Judela wystawione tu są jakby jakie nowe pomysły tego krawca-filozofa, jakby prawdy, do wykrycia których doszedł tylko rozumem, gdy w rzeczywistości są to pojęcia nie inne, jak chrześcijańskie, do których nie mógł dojść sam rozum Judela, jak nie doszedł rozum Sokratesa ani Platona. O idei chrześcijańskiej łączności przeciwko talmudycznej wyłączności nie masz prawie mowy. Eli podziwia i szanuje „w panach“ pojęcia o honorze i edukacyi, a nie chce uczuć innych jeszcze pojęć, które nakazują miłość i zgodę, które zabraniają zemsty i ucisku i polecają miłować nieprzyjaciół i czynić im dobrze. Nie wszyscy wprawdzie „panowie“ stosują w praktyce te ostatnie pojęcia, nie wszyscy mają i owe pierwsze, przyznawane im przez Elego, który, pomimo nauk Judela, nie może jednak wznieść się po nad zamknięty okrąg przymiotów i widoków praktycznych.

Czy owe tak szczupłe praktyczne podstawy przymierza Makowera z Orchowskim, przytoczone wyżej w wyjątku—tu przechodzimy do drugiego zarzutu, które musimy stawić autorce — czy owe podstawy mogą być uważane za szkic do załatwienia „kwestyi żydowskiej“? Bynajmniej, ani nawet w przybliżeniu, mniemamy że sama autorka owych ciasnych, naprędce i w krótkości rzuconych podstaw, nie może uważać za wyczerpujący problemat i załatwiające ostatecznie tak skomplikowane i ciężkie zadanie przyszłości — jeśli kiedykolwiek przestanie ono być samem tylko idealnem pragnieniem — jak zbliżenie się żydów do reszty ludności. W różnicach dzielących oboje jest coś więcej nad zmysł praktyczny żydów i znajomość honoru i edukacyi u panów. Tak, podług naszego przekonania, autorka nie rozwiązuje (jak zresztą i w innych swoich powieściach), ani nawet nie wskazuje drogi rozwiązania „kwestyi żydowskiej“.

Trzeci błąd wielki, zdaniem naszem, tkwi w tem właśnie, że Makower występuje jako duch opiekuńczy Mieczysława jako wybawca, od którego wszystko zależy, jako pan życia i śmierci, z łaski darzący życiem. Nie przeczymy że taki wypadek, mógł mieć miejsce w rzeczywistości, ale powieść, jako dzieło sztuki, powinna więcej pamiętać o ideale. Pragnęlibyśmy, ażeby sama autorka odpowiedziała na następujące pytanie: czyby nie zyskała na tem powieść, gdyby Mieczysław ocalił się od ruiny własną pracą i wytrwałością niż z łaski Makowera? Nie chcemy przypuszczać, ażeby tendencyą autorki było przeprowadzenie tej myśli, jakoby ratunek podupadłych ziemian zależał jedynie, albo przeważnie od wspaniałomyślności takich Makowerów, a jednak jakoś to tak wygląda. Gdyby bowiem tak było, to znowu autorka uległaby zbyt optymistycznemu pod tym względem złudzeniu.

Czwartą wadą nazwalibyśmy przebijający zbytecznie tu i owdzie realizm, który zarzucano już innym powieściom autorki. W Makowerze mniej może rażącego realizmu niż w poprzednich utworach pani O., ale zawsze nie możemy wspomnieć bez wstrętu o wykończonym przez autorkę we wszystkich szczegółach i con amore obrazie lepianki Judela, owego tuzina brudnych bachorów, zasuwanych niby w szuflady i. t. d. Nie pisalibyśmy się także na szwargot z żydowska polski, którym autorka hojnie szafuje, podkreślając nawet (drukowane kursywą) takie jak *wun* (on) i tym podobne osobliwości.

**Przyjaciela Dzieci Nr 29 wyszedł z druku i zawiera:**

Przejażdżka po Wiśle.—Lud wiejski Marchji brandeburgskiej (drzeworyt).—Paluszek mojej Mamy (dokończenie.) Adryan Boieldieu.—Gąska na pogrzebie.—Prawdziwe zdarzenia. W Dodatku: Długi języczek.—Do trzyletniego Lesia (wiersz).—Straszne nudy.—Rozmowa z Mamą.—Przepiór kalifornijski.—Wiatr.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 29 Іюня (11 Іюля) 1876 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

**Dodatek.**

## Opis do N. 28.

(Dokończenie).

Za podstawę roboty, służy rurka odpowiedniej grubości zrobiona z blachy lub tektury, na której okręca się w koło, stopniowo, promień z 6—8 końskich włosów i obrabia ciągle także w koło, ściegiem ścisłym szydełkowym. Dla otrzymania odpowiedniej długości, pojedyncze włosie wiąże się na supełek, uważając ażeby związania nie wypadały jedne przy drugich. Na zakończenie obrabia się każden rulonik kilka razy bez rurki, dla stopniowego zwężenia, nakoniec górne brzegi przyszywa się do wstążki lub kawałka materyi i dorabia pentelkę do przepięcia szpilki; jak to widziemy na ryc. 32. Trzy potrzebne do warkocza ruloniki nie powinny być zupełnie równej długości.

**N. 34—35. Spacerowe** trzewiki.

Lekkie, wycięte trzewiki wchodzą w użycie do spacerów i wyjścia na miasto, jako dogodne zwłaszcza podczas upałów. Ryc. 34 przedstawia modną formę trzewika z czarnej serży, którą i obcas powinien być oklejony. Model ryc. 35 odrobiony był z miękiej skórki kozłowej. Do przybrania obydwóch trzewików służą sprzączki i kokardy ze wstążki 3 cent. szerokiej.

**N. 36—37. Modne** pończochy.

Wycięte trzewiki wymagają pięknych pończoch, to też obecnie takowe odznaczają się rozmaitością gustu a nawet zbytkiem. Obok bardzo pięknych ażurowych, jedwabnych gładkich lub z fabrycznym haftem, białych i kolorowych, mamy bawełniane kolorowe gładkie, w paski lub desenie. Moda wymaga żeby pończochy dobrane były do sukni. Ryc. 36 przedstawia pończochę białą w kropki czarne, a ryc. 37 gładką bronzową, praktyczną do podróży.

**N. 38—39. Stołeczek** pod nogi ozdobiony haftem płaskim na suknie. Środkowa część deseniu Fig. 49, jedna gałązka ryc. 39.

Postument stołeczka jest z drzewa złoconego, a poduszka pokryta niebieskim atłasem, przepikowanem małemi szmuklerskiemi guziczkami. Zkrzyżowane pasy haftu odrobione są na suknie piaskowym jedwabiami w kolorach naturalnych kwiatów. Deseń z róż polnych i bławatków, w środku stanowi rodzaj bukietu, od którego na cztery strony spuszczone są gałązki.

**N. 40. Spódnica** do sukni, rycina 23—24.

**N. 41. Suknia** i vêtement, z gładkiego i broszowanego materyału w kolorze êcru. Krój vêtement jak do ryc. 1 i 11 w Nr 18 Tygodnika.

Spódnica z gładkiego materyału ogarnirowana jest falbaną 21 cent. szeroką, u dołu zakończoną plisowaniem 6 cent., a w górze nagłówkiem 8 cent. szerokim. Vêtement z materyału broszowanego w paski, zapinane jest z tyłu od góry na guziki, a niżej podpięte w fałdy i złączone szarfą z gładkiego materyału. Do zapięcia i do przybrania z przodu, służą guziki białe z perłowej konchy, mające 1 cent. średnicy. Dwojaki kołnierz, mankiety, plisa u dołu i kieszeń na wstążce zawieszona, z gładkiego materyału. Szlaczek haftowany może być biały batystowy albo takiego jak suknia koloru.

## Opis do N. 29.

**N. 1—2. Ubranie** negliżowe.

Negliż przedstawiony z przodu i z tyłu na ryc. 1—2 dopasować można podług kroju załączonego przy ryc. 41—42 w N-rze 14 Tygodnika; tylko przy krajaniu pleców zachodzi ta różnica, iż przy tylnych brzegach w miejsce przypuszczania kliniasto, dodaje się na 16 cent. poniżej stanu 20 cent. wszerz w prostej linii do dołu. Naddana szerokość składa się przy szwie tylnym w fałdę, rozchodzącą się wachlarzowo. Jako materyał można użyć batyst, alzacki perkal, lub miekki wełniany wyrób; przybranie stanowią plisy, falbanki lub plisowanie, a do batystu najodpowiedniejsze są wstawki i koronka. Negliż przedstawiony na ryc. 1, zapięty wzdłuż przodu na guziki, zdobny jest pasem zakładek i dwoma rzędami wstawki, 4 cent. szerokiej. Na ryc. 2 widzimy pas wszywki, po za którym dany obręb 6 cent. szeroki i koronka. Kieszonki wszyte na szwach bocznych dopełnione są klapkami po 48 cent. długiemi a po 7 szerokiemi, oszytemi koronką i odwiniętemi



N. 1—2. Ubrania negliżowe.

w ranwersy przyciśnięte kokardami z kolorowej wstążki. Pelerynka dochodząca na piersiach do wstawki i przyczepiona wzdłuż brzegów liczy 26 cent. długości w plecach, 30 z przodu, a szerokości dolnej 104 cent. Rękawy zdobne są na ryc. 1 falbaną i wstążką a na ryc. 2 gładkim mankietem 12 cent. szerokim.

**N. 3. Koronka** irlandzka.

Odpowiednia do przybrania parasolików, chusteczek i sukien letnich, wyszyta jest na tle tiulowem trzema rodzajami tasiemeczki koronkowej; brzeg zakończają pikoty fabryczne.

**N. 4—5. Dwa** fartuszki.

Przykrojone są zwykłą kliniastą formą z piki, szyrtyngu lub batystu i liczą po 68 cent. długości; szerokość wynosi u dołu 78 cent., u góry 30 cent.

Rycina 4 przedstawia fartuszek wycięty u dołu w ząb 25 cent. głęboki, w który wszyta jest robota szydełkowa z plecionki mignardise. Brzegi fartuszka i napierśnika zdobi węższa koronka z mignardise, odrobiona podług próbki jaką załączymy w przyszłym N-rze na ryc. 8; powyżej dana pliska $1\frac{1}{2}$ cent. szeroka i ząbki z tasiemeczki. Napierśnik składa się z trójkąta 14 cent. długiego, 15 u góry, $4\frac{1}{2}$ u dołu szerokiego, wszytego między dwie szelki po 25 cent. długie a 4 szerokie. Na ryc. 5 widzimy strojny fartuszek z białego batystu, zdobny wszywką i koronką. Do górnej połowy 38 cent. długiej przyszywa się marszczona bufa 6 cent. szeroka i 20 cent. szeroka falbana lekko nadmarszczona, przyozdobiona rzędami wstawki i zakończona koronką. Wszystkie szwy przykryte są wązitkiemi pliseczkami przestębnowanemi z brzegów. Z lewego boku dana kieszonka na którą potrzeba kawałka materyału 10 cent. długiego, a 6 szerokiego, ściętego u dołu w ząb i oszytego wstawką i koronką. Napierśnik lekko nadmarszczony liczy 9 cent. długości, 7 cent. w górze, 2 cent. szerokości w pasie i wszyty jest między dwie szelki z wstawki i koronki, po 20 cent. długie.

**N. 6—7. Ozdobne** krzesełko. Haft na aksamicie wytłaczanym w deseń (velours frappé).

Małe, eleganckie krzesełko do postawienia przed biurkiem, przy fortepianie, przy kominku lub w salonie, stanowi sprzęcik którego wykończenie i pokrycie niezależne jest od reszty umeblowania. Rycina 6 załącza model odrobiony z drzewa lakierowanego czarno i złoconego; wypukłe siedzenie pokryte niebieskim aksamitem wytłaczanym w deseń, na którym dane wyszycie jaśniejszym kordonkiem i nitką złotą. Na ryc. 7 załączyliśmy w naturalnej wielkości próbkę aksamitu, której większa połowa jest już wyszyta kordonkiem i złotem, podług konturów wytłoczonego deseniu. Brzeg siedzenia otacza frendzla szafirowa ze złotem; takiż sznur z kwastami przewinięty jest przez poręcz.

**N. 8—9. Dwie** próbki.

Robota szydełkowa z tasiemeczką w ząbki; zastosowanie tej roboty podamy w następnym N-rze przy opisie koszyczka.

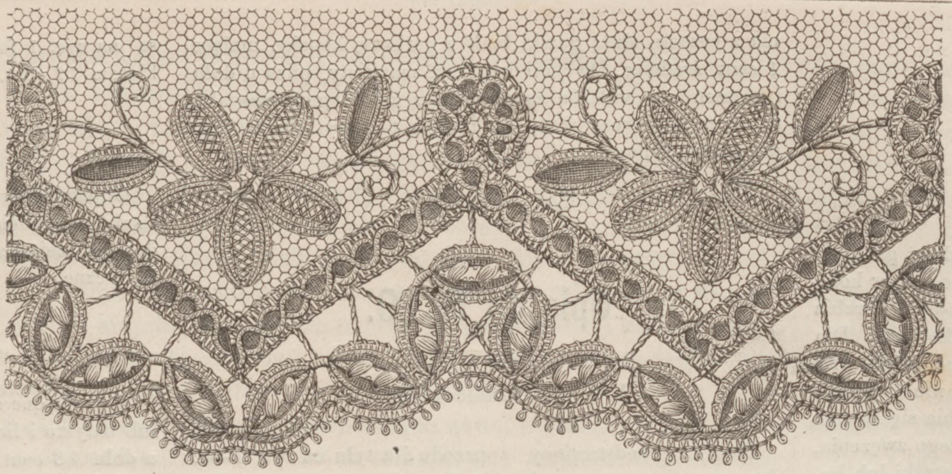
**N. 10. Kołdra** z piki białej.

W przyszłym N-rze na ryc. 16 podamy wzór wyszycia włóczką ponsową lub inną, które w odstępach 8 cent. powtarza się na tle pikowem. Odpowiednio do deseniu piki

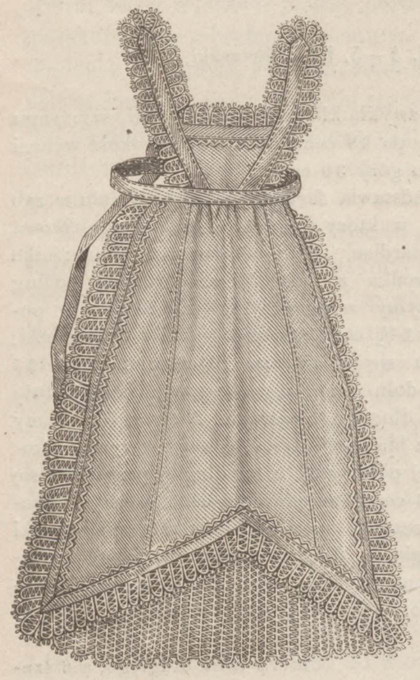
zmienia się i deseń wyszycia ściegiem luźnym i cierniowym; brzegi dziergają się w zęby.

**N. 11—12. Kołdra** z materyału tkanego w kratkę (waflowego).

Rycina 12 przedstawia w naturalnej wielkości wzór materyału użytego na



N. 3. Koronka irlandzka wyszyta tasiemeczkami na tiulu.



N. 4. Fartuszek przybrany robotą szydełkową. Próbkę roboty podamy w przyszłym Numerze.

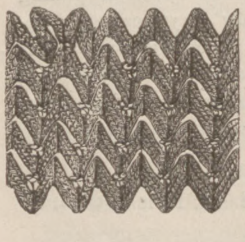
kołdrę i deseń wywiedziony włóczką ponsową, dany jako szlak naokoło brzegów. Kratkę z włóczki wywodzi się przeciągając podwójną nitkę pod luźnemi nitkami tła, gwiazdki zaś wyszyte są ściegiem łańcuszkowym, nitką pojedyńczą. Frendzla 10 cent. długa wysiepana brzegiem tła, umocowana jest rzędem dziergania.

**N. 13. Koronka** z mignardise i roboty szydełkowej.

Odpowiednia do przybrania sukien letnich wykończa się z plecionki białej lub écru; do ubrań dla dzieci można białą plecionkę obrabiać ponsową bawełną. Nie potrzebujemy opisywać roboty szczegółowo gdyż łatwo wykonać ją podług wzoru.

**N. 14—15. Dwie** suknie dla niedorosłych panienek.

Rycina 14 i 15 przedstawia modele ubrań letnich odszytych z perkalu piki, kretonu lub z lekkiego wełnianego



N. 8. Prawa strona roboty z tasiemeczki do ryc. 17 w przyszłym Numerze.

materyału. Do przybrania sukienki w paski użyty gładki perkal odpowiedniego koloru; do sukni gładkiej na rycinie 15 dane przybranie z płetni, guzików i koronki lub haftu.



N. 6. Ozdobne krzesełko. Haft na aksamicie wytłaczanym w deseń (Velours frappé) Patrz ryc. 7.



N. 7. Haft na aksamicie wytłaczanym w deseń do ryc. 6.

**N. 16. Teka** do nut. Haft z podłożeniem kretonu.

Teka osadzona w postumencie z trzciny, 35 cent. długa, 15 szeroka a 24 wysoka, uklejona z tektury, pokryta jest kolorowym safjanem a wewnątrz ścianki powleczone są materyą. Model jaki przedstawia ryc. 16 ma ścianę fron-



N. 5. Fartuszek z wszywką i koronką.

tową pokrytą jedwabnym bastem na którym naszyta aplikacya z kretonu.

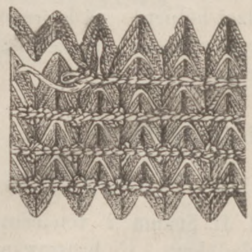
**N. 17—18. Dwie** próbki.

Opis przy odpowiednich rycinach w następnym N-rze.

**N. 19—23. Ubrania** żałobne.

**N. 19. Czepek** i kreza z krawatką do grubej żałoby.

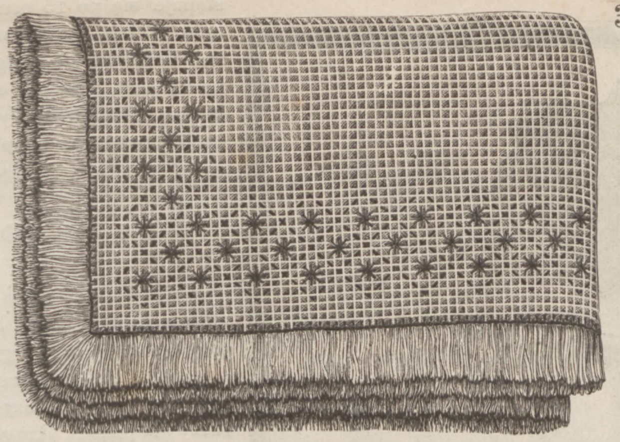
Czepek ten fasonem przypomina dawne wdowie czepki przy których aż cały środek czoła bywał zakryty. Na ryc. 19 widzimy czarny krepowy czepek, zachodzący spiczastym trójkątem na brzeg czoła i upięty na podstawie z trójkąta sztywnego tiulu, oszytego drucikiem. Trójkąt krepowy wysuwający się z przodu liczy po 17 cent. z brzegów bocznych,



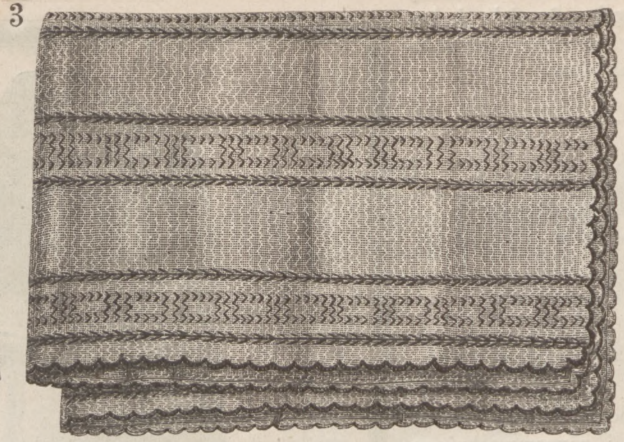
N. 9. Lewa strona roboty z tasiemeczki Patrz ryc. 8.

zaobrębionych na 2 cent. szerokości, poprzeczną zaś stroną przyszywa się do podstawy. Do tyłu dany jest welon 84 cent. długi, 58 szeroki, u dołu mający obręb 7 cent., z boków 2 cent. szeroki; górny brzeg składa się w drobne fałdy. Po za welo-

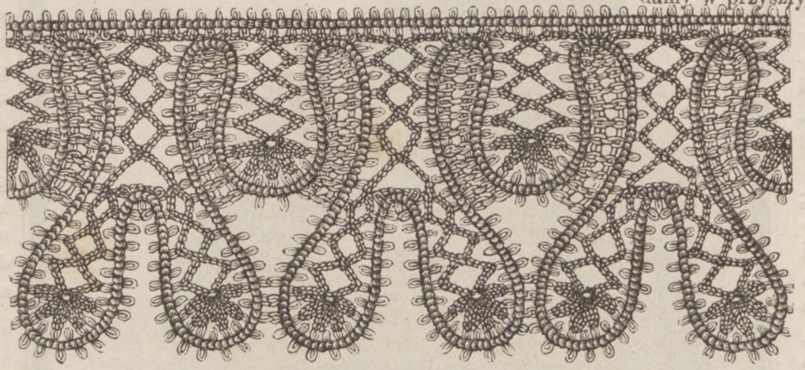
nem ku twarzy dana jest z podwójnej krepy riusza 5 cent. szeroka, w ścisłe kontrafałdy złożona. Przyszycie riuszy zasłania upięcie lekko przewinięte z dwóch skośnych kawałków po 10 cent. szerokich i złożonych w płaskie fałdy. Do utrzymania czepka służy elastyka przyszyta w końcach podstawy. Na krezę i krawatkę i w ogóle na oszycia żałobne używana jest grenadyna jedwabna b e z lustru, która wzięta podwójnie jest bez porównania trwalszą od krepy. Na modelu kreza ułożona z podwójnego, 3



N. 11. Kołdra z materyału tkanego w kratę (waflowego). Patrz ryc. 12.



N. 10. Kołdra z piki białej. Wzór wyszycia podamy w przyszłym Numerze.



N. 13. Koronka szydełkowa z mignardise do letnich sukien.



N. 14. Sukienka przybrana pliskami.

cent. szerokiego skosu, złożonego w ścisłe podwójne kontrafałdy, wszytego w pasek jedwabny 2 cent. szeroki, 38 długi, powleczony grenadyną. Krawatka wymaga prostego trójkąta 35 cent. długiego, którego proste brzegi oszyte są drobnem plisowaniem i obrębem i złożone w wachlarzowe fałdy; górny brzeg przysłonięty jest kokardą złożoną także z grenadyny.

**N. 20. Wykwintne** ubranie żałobne. Suknia formą princesse z tuniką naśladującą vêtement.

Suknia ta zapinana z tyłu, ma przód i boczki przykrojone tylko na długość tuniki i dopełnione brytami spódnicy, sięgającemi do paska, plecy zaś krają się razem z brytami spódnicy; tylna część tuniki dodaje się oddzielnie i łączy z boku z przedniemi brytami, a tylnym brzegiem zachodzi na środek fałdów sukni i podpięta jest w paru miejscach za pomocą pentelek i guzików. Z prawego boku tunika lekko nadmarszczona przyszywa się na bocznym szwie sukni, pod plisą daną wzdłuż klina, jak to wskazuje rycina 20. Z prawego boku na sukni przyszyta kieszonka zakończona kokardą, do plisy przytrzymującej tunikę. Rycina 20 przedstawia suknię z pięknego, cienkiego kaszmiru przybraną garnirunkiem z matowej materyi lub krepy angielskiej. Układ garnirunku objaśnia rycina; plisa przytrzymująca tunikę dodana jest z materyi. Kapelusz i welon z jedwabnej grenadyny; welon liczy 140 cent. długości a 25 szerokości i zakończony jest 3 cent. szerokim obrębem; z przodu zachodzi krótko na twarz a z tyłu zapięty jest na kapeluszu i spuszcza się w długich końcach. Chusteczka batystowa z czarnym szlakiem.

**N. 21. Ubranie** do grubej żałoby. (Krój kaftanika można dopasować podług ryc. 35 w N-rze 6.)



N. 15. Sukienka przybrana pletnią i guzikami.

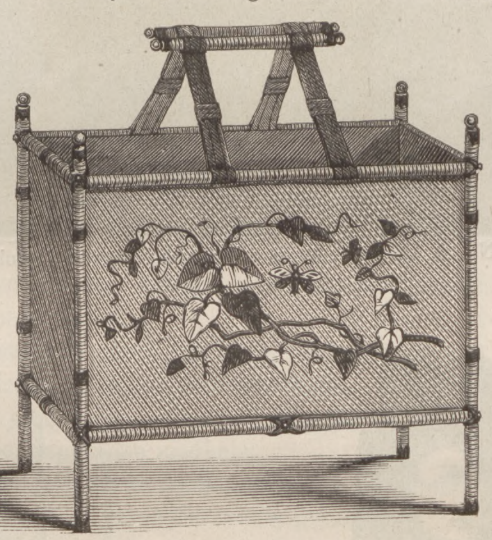
Składa się ze spódnicy, tuniki, kirasowego stanika i kaftanika; za materyał służy kaszmir a oszycia dane z angielskiej krepy; szerokość plisy do sukni wynosi 17 cent. przy tunice 13, przy kaftaniku 9. Kreza i oszycie przy rękawach z dubeltowej krepy; kapelusz krepowy z długim woalem ma dodany w podpięciu trójkąt krepowy, podobnie jak przy czepku do grubej żałoby. Rękawiczki długie jedwabne.

**N. 22. Ubranie** do lekkiej żałoby dla dziewczynki.

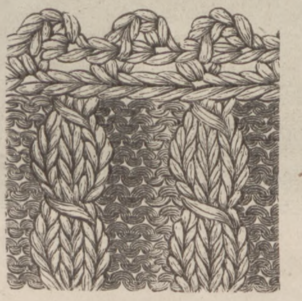
Biała pikowa sukienka zakończona dwoma rzędami plisowania, nad którem dana plisa 5 cent. szeroka, oszyta z brzegów szlaczkiem haftowanym Staniczek wycięty, z krótkiemi rękawkami; szarfa czarna aksamitna. Kapelusz z białego batystu, przewiązany czarną aksamitką; rękawiczki czarne siatkowe, sięgające do łokci.

**N. 23. Ubranie** do lekkiej żałoby dla młodej panienki.

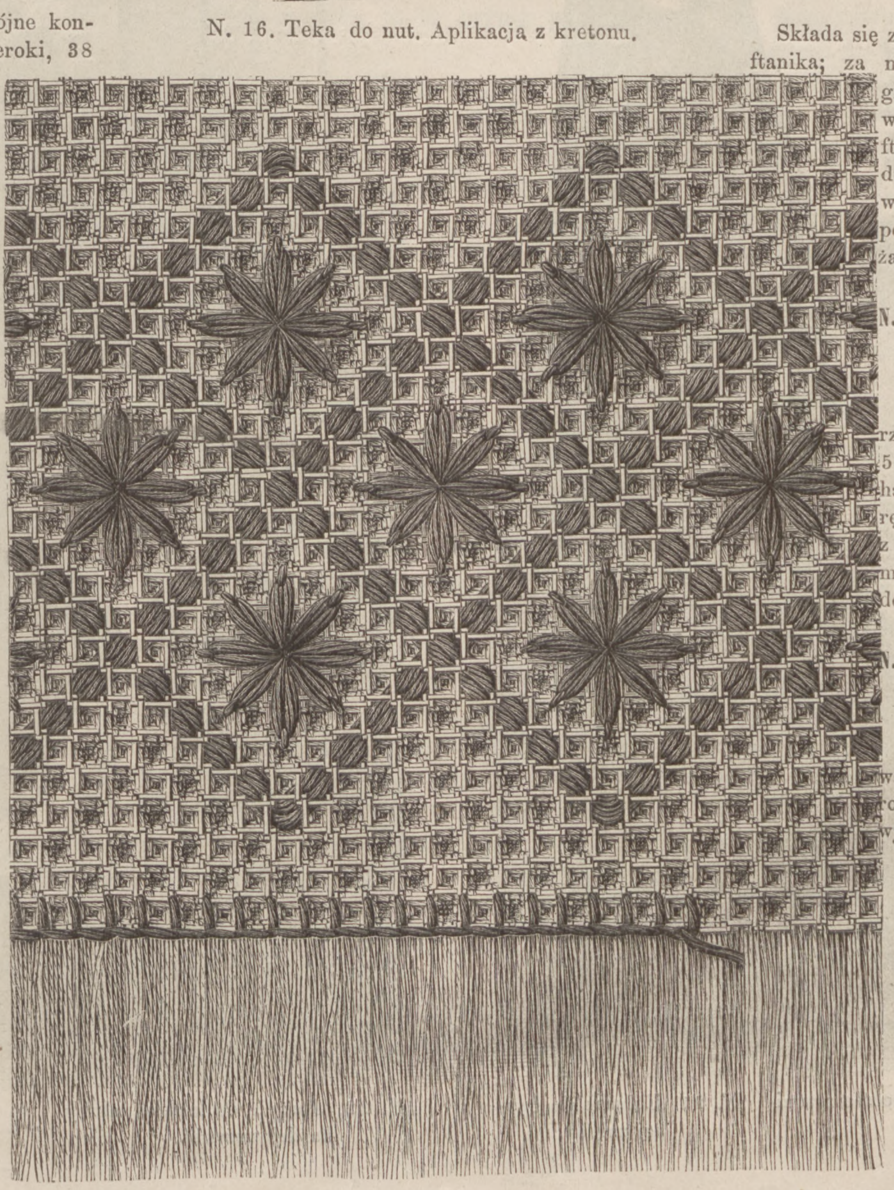
Biała batystowa suknia zakończona plisowaniem 25 cent. szerokiem, przyszytem szeroką plisą z czarnego batystu z pod której wysuwa się nagłówek. Tunika i stanik z czar-



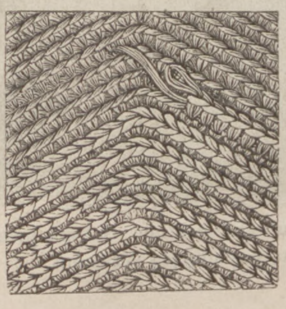
N. 16. Teka do nut. Aplikacją z kretonu.



N. 17. Robota górnego obrobienia bucika do ryc. 10 w przyszłym N-rze.



N. 12. Wyszycie ściegiem luźnym na materyale waflowym do ryc. 11.



N. 18. Robota szydełkowa do ryciny 26 w przyszłym N-rze.

nemi rękawami są z białego batystu w rzucik czarny przyozdobienie składa czarna plisa, frendzla i kokardy. Kapelusz biały bastowy przybrany aksamitką i różami białemi, z czarnemi liśćmi.

## Opis do N. 30.

**N. 1—5. Kapelusze** dla dziewczynek.

**N. 1. Kapelusz** biały batystowy zwany Helgolandka.

Oryginalny fason tego kapelusza znany jest od dawna pod nazwą Helgolandki i rozpowszechniony jest bardzo na letnie spacery dla małych dziewczynek a nawet starszych, ponieważ zasłania doskonale głowę i szyję a z powodu swej lekkości bynajmniej nie przyczynia gorąca. Każda z naszych zręcznych czytelniczek może z łatwością podług opisu i modelu odrobić podobny kapelusz; rozmiar jaki wskazujemy odpowiedni jest dla panienek od lat 5—12.

Rondko składa się ze złożonego podwójnie; prostego kawałka w końcach tylko ściętego okrągławo, mającego 16 cent. szerokości a 74 długości w który między rzędami stębnówki, w równych 4-ro cent. odstępach wsunięte są cztery cieniutkie fiszbinki lub trzciny, stopniowo krótsze do dołu. Przez zmarszczenie zmniejsza się długość rondka i wynosi z przodu 55, z tyłu 35 cent. Brzeg tylny obejmuje się wązką listewką i następnie przyszywa się do niego część kapelusza tworzącą główkę i karczek oddzielony przemarszczeniem, potrzeba na to kawałka trochę zaokrąglonego od dołu, u góry ściętego wypukło, liczącego 80 cent. szerokości a 44 długości w środku, z brzegów oszytego szlaczkiem lub koronką. Przyszywając główkę do rondka odstępuje się po 15 cent. w końcach na brzegi karczka a dalej przymarszcza zsuwając fałdki ku górze. Listewkę do ściągania przyszywa się w środku na 23 cent. odstępu od brzegu, w końcach zaś na 9 cent. Dwie kokardy z końcami oszytemi haftem zdobią zwierzchu kapelusz; do związania służą końce po 45 długie a 7 szerokie.



N. 19. Czepek i kreza z krawatką do grubej żałoby.

**N. 2—3. Kapelusz** okrągły batystowy.

Na rondo do tego kapelusika potrzeba podwójnie złożonego prostego kawałka batystu, 100 cent. długiego a 6 szerokiego, zszytego w kółko i z jednego brzegu zakończonego koronką, który przestębnywowa się po dwa razy w równych odstępach i marszczy w płaski okrąg za pomocą fiszbinków lub trzcinek wsuniętych między rzędy stębnówki. Główkę tworzy podwójny okrągły kawałek batystu 22 cent. średnicy mający, podszyty sztywnym szyrtyngiem, założony brzegiem w równe fałdki 1 cent. głębokie i mocno przyszyty do brzegu rondka. Szew od spodu zasłania podszyta listewka a zwierzchu dane jest przybranie z lekkoprzewijanego skosu muślinu 6 eent. szerokiego oszytego koronką zwierzchu główki do tyłu dana kokarda z pięciu pukli i dwóch końców po 25 cent. długich. Do wiązania służą wązkie bandaże lub długie wstążki przyszyte od spodu rondka. Ryc. 2 przedstawia kapelusik z boku a na ryc. 3 widzimy go z przodu.

(d. c. n.).



N. 20. Wykwintne ubranie żałobne. Suknia princesse z tuniką naśladującą vêtement.

N. 21. Ubranie do grubej żałoby.



N. 22. Ubranie do lekkiej żałoby dla dziewczynki.

N. 23. Ubranie do lekkiej żałoby.